

Stara fotografia

Przeszła przez ulicę w miejscu, w którym ponad dwadzieścia lat temu podjechał do niej patrol milicji. Starszy z dwóch siedzących w aucie funkcjonariuszy udzielił jej pouczenia za „przechodzenie przez jezdnię w miejscu niedozwolonym”. Miała wtedy czternaście lat i sam fakt, że ktoś zażądał od niej legitymacji był dla niej prawdziwym upokorzeniem

Teraz, po wielu latach, większość mieszkańców miasteczka nadal tamata prawo przedostając się na rynek za kilkanaście metrów od mało widocznego zakrętu, za to zupełnie ignorując starannie wymalowane przejście dla pieszych, oddalone zaledwie parę metrów od tego „nieoficjalnego”. Ewa mimowolnie uśmiechnęła się na samo wspomnienie tego wydarzenia. Pamięć o tych wszystkich nieistotnych z pozoru szczegółach pozwalała jej utrzymać się na powierzchni, nie dać się wciągnąć w pustkę, która zapanowała w jej życiu.

Idąc tą zapomnianą przez siebie drogą czuła się wyjątkowo dobrze. Nie świetnie, ale dobrze, co w świetle ostatnich wydarzeń, które wyróciły jej życie do góry nogami, było niemałym sukcesem. Depresja, która dopadła ją po tym, jak przytapała swojego męża na zdradzie w czasie, kiedy leżała w szpitalu tuż po poronieniu, zaczęła odpuszczać dopiero po ośmiu miesiącach leczenia. Swoją drogą nigdy wcześniej nie pomyślała, że zwykły telefon, którego nie wyłączyła na czas, może tak odmienić czyjeś życie. Pamiętała doskonale, jak zadzwoniła do Michała, że jest w szpitalu i to, jak bardzo pragnęła, żeby był przy niej, żeby dzielił z nią żal i smutek. Pamiętała też, jak powiedział, że nie może, bo wszyscy czekają na jego referat. A ona trzymała komórkę przy uchu i czuła, jak tży zalewają jej twarz. Nagle zdała sobie sprawę, że nie wyłączyła telefonu. Nie tylko ona... Słuchała jak w transie dochodzących z niej odgłosów. Pieknie banalne zakończenie związku, równie dobrze mogła wrócić wcześniej do domu i zastać ich w swojej sypialni, albo znaleźć ślady szminki na jego koszuli. Nawet zdradzając był przewidywalny, nie pozwalał sobie na spontaniczność, improwizację. Oczywiście potem padły słowa „to nie tak, jak myślisz” i tym podobne wytarte frazesy, jednak szybko zorientował się, że ona nie pogodzi się z jego zdradą, więc dostała rozwód na swoich warunkach. Zostawiła mu dom, ale samochód i wszystkie, nie małe zresztą oszczędności przypadły jej. Zresztą tak samo jak ta cholerna depresja, z którą zmagala się nawet po powrocie do rodzinnego miasteczka gdzie po śmierci rodziców odziedziczyła mieszkanie. Teraz wracała do równowagi, jednak nie

mogła zdobyć się na podjęcie pracy. W czasie choroby narastał w niej lęk przed kontaktem z obcymi ludźmi, co jej psychoterapeuta tłumaczył zawodem, jakiego doświadczyła w małżeństwie. Ta wycieczka na rynek miała być ćwiczeniem zaleconym przez terapeutę. Prawdę mówiąc miała zamiar przemknąć się niepostrzeżenie pomiędzy straganami, a marchewkę, którą Piotr kazał jej tam kupić, załadować do woreczka w marketcie, w którym nie trzeba było celebrować wymiany towaru na pieniądze, informując się nawzajem o wszystkich plagach i radościach minionego tygodnia.



Wkroczyła na targ pewnym krokiem, przynajmniej tak jej się zdawało. Po przejściu kilkunastu metrów zdała sobie sprawę, że atmosfera „swojskości”, którą pamiętała sprzed lat, minęła. Ludzie rzadko przystawali, żeby porozmawiać, głównie mijali się, spiesząc się do tylko sobie znanych miejsc. Nieco ośmielona tą namiastką prywatności, zaczęła przyglądać się stoiskom, gdy nagle jej wzrok przykuła grupka rozbawionych ludzi. Właściwie powinna się wycofać, ale zaintrygowały ją przedmioty leżące na rozłożonych płachtach na ziemi.

ciąg dalszy na str. 15



„Msza za miasto Arras” - wielka rola Janusza Gajosa



Janusz Gajos został kultowym aktorem po serialu telewizyjnym „Czterej pancerni i pies” w reżyserii Konrada Nałęczkiego. Serial wyświetlany w dwudziestu jeden odcinkach w latach 1966 - 1970 wzbudził największe zainteresowanie telewizyjnej widowni i był zawsze entuzjastycznie przyjmowany. Zagrany przez tego aktora spektakl „Msza za miasto Arras” i pokazany „na żywo” w telewizji, to też wyjątkowa rola - na miarę czasu!

Dla szerokiego widza serial „Czterej pancerni i pies” stanowił pierwiastek patriotyczny, spełniał oczekiwania polskiego odbiorcy, ponieważ przybliżał losy polskiego żołnierza - założyciela czołgu Rudy i psa Szarika podczas kończącej się II wojny światowej. Przedstawiane obrazy były bliskie każdemu Polakowi. Również scenariusz filmu odpowiadał wymaganiom ówczesnej cenzury, ponieważ nawiązywał do żołnierskiej przyjaźni polsko-radzieckiej.

Janusz Gajos grał w serialu Janka Kosa - kaprała, plutonowego, sierżanta, podporucznika - bo tak awansował od strzelca - radiotelegrafisty do dowódcy czołgu. Ten popularny i kilkakrotnie powtarzany w telewizji serial wylansował młodego Gajosa, wówczas jeszcze studenta, o sympatycznym uśmiechu i blond czuprynie, który w tym filmie urosł na bohatera tamtych czasów. Powstał potem problem, czy młody aktor „zaszufladkowany” do ról wojskowych, będzie miał możliwość i sposobność pokazania się w innych rolach aktorskich? Czas pokazał, że miał taką sposobność, bo przyszły lata, w których podziwialiśmy Janusza Gajosa w rolach komediowo-kabaretowych, a te najbardziej zapamiętane to oczywiście z Kabaretu Olgi Lipińskiej, oglądanego co tydzień przy pełnej domowej widowni. Potem były role w skeczach Kabaretu Dudek w programie „W telewizyjnej kawiarni”.

Dzisiaj, oceniając dorobek mistrza Janusza Gajosa, można stwierdzić, że jest on bardzo pokaźny. Przez wszystkie lata kreował nie tylko role filmowe, ale i teatralne - występował w spektaklach, monodramatach, w przedstawieniach specjalnych, kabaretach.

Jest niewątpliwie wybitnym polskim aktorem! W tym miejscu warto przypomnieć, że zawodu uczył się początkowo w Teatrze Dzieci Zagłębia pod opieką Jana Dormana, jednocześnie starając się kilkakrotnie o przyjęcie do szkół teatralnych w Łodzi i Krakowie, ale ciągle bez powodzenia. Dopiero po odbyciu służby wojskowej studiował w latach 1961 - 1965 na Wydziale Aktorskim PWSFTiT w Łodzi, gdzie w 1971 roku uzyskał dyplom aktora.

Janusz Gajos debiutował w filmie Marii Kaniewskiej „Panienska z okienka” w roli Pietrka w 1964 roku. Jako aktor występował w Teatrze im. Stefana Jaracza w Łodzi, teatrach warszawskich: Komedia, Polskim, Kwadrat i Dramatycznym. Od 1970 roku grał w Teatrze Powszechnym, a od 1985 w Teatrze Narodowym oraz w spektaklach Teatru Telewizji. W 2003 roku został wykładowcą PWSFTiT w Łodzi, a w 2006 - członkiem Rady Programowej Fundacji Centrum Twórczości Narodowej. W 2008 otrzymał tytuł naukowy profesora sztuk teatralnych.

Na statystykę zrealizowanych ról składa się wiele wspaniałych kreacji aktorskich. Spośród tych filmowych godzi się przypomnieć jeszcze znaczącą rolę w filmie „Żółty szalik” Janusza Morgensterna z 2000 roku. Pierwszy obraz tego reżysera ukazał się już w 1986 roku i zbudowany był z epizodów, niewielkich etiud, które łączy bohater grany przez Janusza Gajosa. Jego rola spotkała się z entuzjastycznym przyjęciem krytyków i widzów, była uważana za jedną z najlepszych w jego dorobku. Na drugim planie partnerują mu m.in. Danuta Szaflarska, Krystyna Janda

Janusz Gajos
Aktor

i Joanna Sienkiewicz. Wstrząsający jest obraz mężczyzny alkoholika - zamożnego prezesa firmy zagrany tak przekonująco przez aktora, który potrafił za pomocą perfekcyjnych opanowanych gagów przedstawić dramat człowieka będącego w szponach straszego nałogu.

Wydarzeniem w TVP Kultura kończącego się roku 2015 była kreacja Janusza Gajosa w monodramie „Msza za miasto Arras”, wg znanej powieści Andrzeja Szczypiorskiego o tej samej nazwie. Książka ta odwołuje się do historii XV-wiecznego miasta trawionego zarazą, głodem, w którym dochodziło do pogromów Żydów i polowań na czarownice. Wydana w 1971 roku była odpowiedzią pisarza na wydarzenia Marca '68 - na antysemityzm, ataki władzy i zmuszenie do wyjazdu z Polski rzeszy intelektualistów. Prapremiera spektaklu miała miejsce w 1994 roku w Teatrze Powszednim w Warszawie, wyreżyserowana była przez już nieżyjącego Krzysztofa Zaleskiego. Obecny spektakl miał premierę w maju 2015 roku w Teatrze Narodowym w Warszawie. Oglądamy w nim Janusza Gajosa w roli kronikarza Jana - narratora i świadka wypadków w Arras. Artysta w pozornie beznamiętnej relacji wspaniale wydobywa grozę sytuacji, konflikt rozumu i sumienia z głupotą i podszytą strachem podłością. Gajos gra Jana, który po ucieczce z Arras opowiada o tym, czego świadkiem był w mieście. Gra człowieka starego, wymawia z trudem słowa, w miarę opowieści o okropieństwach terroru wstaje z krzesła, podnosi głos, aby zaraz opaść z powrotem. Na scenie widzimy człowieka, który ma coś ważnego do przekazania swoim słuchaczom: prawdę o tym, że totalitaryzm rodzi się, a ideologia się wynaturza i niszczy wszystko na swojej drodze, przede wszystkim wolność człowieka.

Monodram zagrany przez Janusza Gajosa to rzadki na scenach przykład perfekcyjnego rzemiosła aktorskiego, szacunku dla roli i publiczności. A co powiedział sam aktor o prezentowanym spektaklu: - „Msza za miasto Arras” to rzecz o naszych niemocach. Dlaczego dajemy namówić się przywódcom na jakąś błyskotkę, obietnicę, skoro każdy inteligentny człowiek wie, że panaceum na całe zło nie istnieje, bo nie żyjemy w świecie idealnym? Nie chciałbym wdawać się w politykę, wskazywać palcem, kto jest dobry, a kto zły - mówi Gajos. Wartość tekstu Andrzeja Szczypiorskiego polega

właśnie na tym, że opowiada o prawdziwych zdarzeniach z połowy XV wieku, które o tyle nas oddalają od dzisiejszej sytuacji, że możemy mówić o mechanizmach władzy bez nazywania władców po imieniu. Myślę, że na tym polega szlachetność dzieła literackiego czy teatralnego - pokazuje świat w szerszej perspektywie”.

Artysta na scenie występuje we współczesnym kostiumie. Jedyńm rekwizytem jest drewniane krzesło. To, co najbardziej interesuje aktora w opowieści, to niezmiennie przez ostatnie dwie dekady ani wcześniejsze pięć stuleci makiażelnicze zasady manipulowania ludźmi, którymi posługują się przywódcy. Po spektaklu przeprowadzono wywiad z Januszem Gajosem. Oto jedna z jego wypowiedzi: - „Istnieją



osoby, które mają specjalny dar, i gdyby nie to, że przeważnie ich rządy kończą się tragedią, można by powiedzieć, że mają charyzmę. Dzięki niej są w stanie pociągnąć za sobą wielkie grupy, narody, całe rzesze przyznają takiemu politykowi rację. Tak rodzi się totalitaryzm”.

Zaprezentowany „na żywo” na kanale Kultura spektakl „Msza za miasto Arras” to teatralny majstersztyk, genialny monodram, genialne aktorstwo, genialny tekst. Pozostaje tylko gorzka aktualność tematu i przestroga na przyszłość.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Gromniczna



*Jeszcze do tej pory są domy,
w których gromnica jest
niezwykle ważna, towa-
rzyszy rodzinie w chrztach
i przy śmierci, przecho-
wuje się ją pieczętowiec
i używa w trudnych ro-
dzinnych sytuacjach*

O znaczeniu niezwyklej świecy w dawnych wiekach pisał autor „Encyklopedii staropolskiej”, Zygmunt Gloger: „W każdym też polskim (domu), zarówno pańskim jak kmiecym, była gromnica i palma, na krzyż nad łóżkiem związane. W domach magnatów miewano gromnice przez papieża poświęcane i rozdawowane. Po niektórych rodzinach zachował się dotąd stary obyczaj palenia gromnicy przed obrazem

Bogarodzicy w każdy dzień uroczystości poświęconej czci N. M. Panny.”

O niesłabnącym znaczeniu gromnicy w późniejszym czasie świadczą liczne zapisy w literaturze i osobistych wspomnieniach prostych ludzi. Pamiętnego 10 lutego 1940 roku w daleką, nieznaną drogę do Soługi na Syberii zabrała ją matka Aleksandra Kalisty z Podgórza pod Łomżą, później rolnika z Objazdy. Kilkunastoletni wówczas Aleksander tak o tym opowiadał: „Baraki stały na małym pagórku. Ogólnie było ich, jak się nie mylę, dziesięć albo dwanaście - w różnych rozmiarach. Taka była prawda, to było nasze miejsce zamieszkania przez półtora roku, a dużo zostało tam na zawsze. (...) Wiele godzin trwał ten rozładunek, tego nie pamiętam. Pamiętam, że jak zapadł zmrok, to już znaleźliśmy się w baraku na tej ogólnej sali. Tam każda rodzina zajęła swoje miejsce, na którym dla całej rodziny stały prycze zbite z desek. To był mebel, który służył jako sypialnia, pokój stołowy oraz do wszelkich wygod. Nie pamiętam z jakiego oświetlenia tego wieczoru ci wszyscy ludzie korzystali: czy lamp naftowych, czy to były świece i kto to zorganizował - tamtejsza kadra czy z naszych rodzin. Możliwe, że mieli świece albo może to były gromnice, które przeważnie każda polska rodzina miała.”

Powszechnie stawiano gromnice w oknie podczas burzy, stąd też ich nazwa, bo wierzono, że chronią przed gromem lub jak kto woli piorunem. Umierającemu wkładano ją do rąk, by jej światło prowadziło w lepszy świat.

*„Gdy życie nasze dobiegnie do końca,
Gdy Bóg ostatnie godziny policzy,
Niech nam zaświeci, jak promienie słońca,
Światło gromnicy.
Gdy nasze czoło pot śmiertelny xrosi,
Gdy nasze łóżę obstąpią szatani,
Twojej obrony niech każdy uprosi -
Gromniczną Pani!
Kiedy nad nami zawisną czarne chmury,
Gdy na wsze strony lecą błyskawice,
Gdy ciemność straszna od dołu do góry:
Świećmy gromnicę! (...)*

- pisał ludowy poeta z Limanowszczyzny Józef Strug.



Położnice trzymały ją w ręce podczas obrzędu wyvodu, na pamiątkę oczyszczenia Matki Bożej, stosownie do słów Pisma Świętego: „Gdy upłynęły dni oczyszczenia Maryi według Prawa Mojżeszowego, rodzice przynieśli Jezusa do Jerozolimy, aby Go przedstawić Panu” (Łk 2,22). W Objeździe zwyczaj wyvodu podtrzymywał pierwszy powojenny proboszcz wytownieńskiej parafii, ks. Jan Zieja.

Święto, zwane pierwotnie Oczyszczeniem Najświętszej Maryi Panny lub Ofiarowaniem Jezusa prawdopodobnie znane było już w IV wieku. W tradycji polskiej od wieków obchodzone jest 2 lutego i nazywane jest świętem Matki Bożej Gromnicznej. To połowa zimy, okres ciemności, zimna i, dawniej, strachu przed wilkami szukającymi pożywienia w pobliżu ludzkich obejść. Taki zapewne kontekst towarzyszył powstaniu „Legendy o Matce Bożej”, która światłem gromnicy przegnała wilki sprzed wiejskiego obejścia. W latach 1892

- 1893 malarz pochodzący z galicyjskiej wsi - Piotr Stachiewicz podjął malarsko temat „Legendy”, i zdobył Nagrodę im. Barczewskiego przyznaną przez Akademię umiejętności. Reprodukacje obrazów Stachiewicza do „Legendy” ukazały się na kartach pocztowych tuż przed wojną, teraz są antykwarecznym rarytasem.

Pamiętką dawnych wierzeń ludowych związanych z Gromniczną są też przysłowia meteorologiczne, jak te:

*Gromnica, zimy połowica.
Gdy słońce świeci na Gromnicę,
to przyjdą większe mrozy i śnieżyce.
Gdy na Gromniczną mróz, c
howaj chłopie sanie, szykuj wóz.
Na Gromniczą zima, mróz,
do skrzyni kozuch włóż.*

Znane było również praktyczne przysłowie matrymonialne: W dzień Panny Gromnicznej, bywaj zdrow, mój śliczny! Przygotowanie wesela i wyprawy wymagało czasu i starań, więc na zaloty wobec zbliżającego się postu było stanowczo za późno!

W tradycji ludowej w uroczystość Matki Bożej Gromnicznej kończy się śpiewanie kolęd, ostatecznie znikają żłóbki i choinki, mimo że już wcześniej kończy się liturgiczny okres Bożego Narodzenia, to znaczy w święto chrztu Pana Jezusa, czyli tydzień po Trzech Królach.

W tym roku Gromniczna przypada we wtorek, i mimo obaw i tak zwanego ocieplenia klimatu, zima ma się dobrze. Gdyby utrzymał się mróz, znaczyłoby, że lada dzień nadejdzie ocieplenie.

Tak zatem mimo zimowej aury gromnicę zdobi się asparagusem, rutą, barwinkiem, paprocią lub po prostu świerkiem, przewiązuje pasmem lnu i czerwoną wstążką na znak królewskiej szaty Chrystusa. Współcześnie spotyka się wstążki niebieskie (kolor Maryjny) lub żółte - kolor papieski. Na Podlasiu święcono też błążejki (3 lutego Błążeja) - suszone jabłka i gruszki na małych świeczkach owijanych pasemkami lnu. Susz pomagał na ból gardła, trzeba było zjeść lub przyłożyć pod szczękę.

Zarówno ludowe wierzenia, jak i wymiar liturgiczny święta Gromnicznej w pięknym liryku zamknęła Kazimiera Iłkiewiczówna:

*„O Panno przesłiczna, gromniczna!
Pod ogień Twój święcony,
wiszący nad woskiem gromnic,
przez las kołący i wyjące wilki,
idę bez wszelkiej obrony:
Nie módl się, ani się przyczyniaj,
ale tylko wspomnij!
Ty, coś rodziła Dziecię bez ognia i dachu,
a przez ucieczkę uszła od zamachu
i potem całe życie wyczekała w lęku
na Syna mękę. (...)
I nie módl się, Najświętsza Panno,
Gwiazdo szczęśliwego, krótkiego konania,
nie módl się, Zorzo łask, nie ostantaj,
tylko wspomnij.”*

W dawnym świętowaniu obrzędy i wierzenia ludowe spletały się z liturgicznym przesłaniem, obszar sacrum wnikał w codzienność, budował wartości i zasady ludzi, wspólnot rodzinnych, wiejskich i społecznych. Nie proponuję przykładania suszonych jabłek, choćby poświęconych, na ból zęba. Lepsza wizyta u dentysty! Żal mi jednak magii dawnego życia, codzienności powtarzalnej, odmierzanej świętami i obrzędami, a przez to niecodziennej.

Czesława Długoszek, Objazda

Życ pod wiatr, czyli o wierszach Zygmunta Jana Prusińskiego z tomu „W ogrodzie Norwida”

„Żyjemy - zawsze - pod wiatr, skrucę
/ pieścimy w rękach wedle pieśni ciszy”
- napisał Jan Zygmunt Prusiński
w wierszu „Chowamy się w ciszy”

Część I: „Poeci walczą z cieniami”

Tomik „W ogrodzie Norwida” otwiera wiersz „Na tej ziemi jest tylko słowo” dedykowany „Mirostawie Marii Kruszewskiej / z ziemi indiańskiej w USA”. Brzmi to niepoważnie? Ależ skąd! Fraza pochodzi z listu M. M. Kruszewskiej do autora, a przy tym oddaje całą złożoność myśli i natury usteckiego poety. Pod quasi-żartem jest bolesna prawda, pod nonszalaną wrażliwość na słowo i ludzki los, pod brawurą - potrzeba akceptacji i wspólnoty poglądów. Poetycka dedykacja zwieńcza wirtualną znajomość, odkrytą wspólnotę poglądów.

Z Mirostawą Marią Kruszewską - poetką, dziennikarką, historykiem emigracji polskiej w Ameryce oraz wydawcą łączy Zygmunta Prusińskiego wspólnota słowa poetyckiego jako oręża i zapisu pamięci. Emigracyjna pisarka jest ważną dla poety postacią odkrytą w sieci, autorką zbioru wierszy „W pułapce wolności” o tematyce solidarnościowo-emigracyjnej.

Mirostawa Maria Kruszewska zarówno w publikacjach książkowych, jak i internetowych odważnie prezentuje poglądy, nie waha się atakować przeciwników politycznych. Na autorskim blogu „Blaknące konterfekty” (2012) zamieszcza wiersze poświęcone bohaterom - dysydemtom: Józefowi Mackiewiczowi, Grzegorzowi Przemykowi, gdzie Zygmunt Prusiński jest jedynym komentatorem.

Te informacje o pozatekstowej adresatce wypowiedzi lirycznej z pozoru wydają się nieistotne, w gruncie rzeczy dobrze opisują poglądy autora, polemisty o żywym temperamencie zarówno w świecie realnym, jak i wirtualnym, poszukującym potwierdzenia statusu poety wrażliwego społecznie i politycznie.

Autor wstępu do książki Zygmunta Prusińskiego - współautor wyboru wierszy z lat 2008 - 2014 - Jerzy Frykowski napisał o Zygmuncie Prusińskim: „I tak było z autorem tego tomu. Polska Partia Biednych, protesty przed słupskim ratuszem, audycje radiowe, nawet wyrzucenie przez okno propagandowej tuby rządu, czyli telewizora. Wiersze z tego okresu, na pewno słuszne w swoim zamyśle, nie przetrwały próby czasu, podobnie

jak bywało to u wielu współczesnych polskich poetów, walczących z komuną. Agitacja, bojowe pieśni czy protest songi ważne są w danej chwili. Muszą powstawać i wzywać do buntu, ale z artystzemu niewiele z nich ocaleje. Cieszę się, że udało się wydawcom odrobinę utemperować i ograniczyć poetycką wolność Prusińskiego, że wreszcie w jednym pliku znalazły się jego wiersze, z których można było zbudować tomik.”

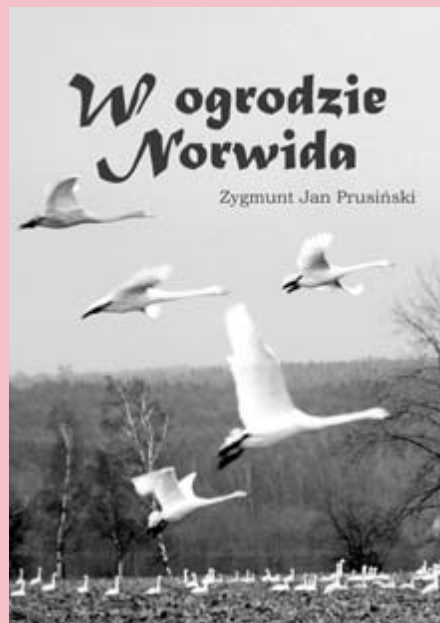
Dlatego uważam, że bez rozkodowania dedykacji i mott do wierszy z tomu „W ogrodzie Norwida” powstałby portret poety niepełny, bowiem rzeczywisty temperament autora znajduje ujście w publikacjach internetowych, które on uważa za istotnie autorskie i absolutnie realizujące artystyczny zamysł wolności i indywidualizmu.

Wiersz dedykowany Mirostawie Marii Kruszewskiej jest ponadto opatrzone mottem „Każdy umiera w samotności” z książki Denisa Lehane’a „Mystic River”: Myślę, że to jedno zdanie zamykające historię trzech chłopców z Bostonu oddaje przesłanie autora wiersza.

Wiersz „Na tej ziemi jest tylko słowo” to cztery dystychy, a monolog liryczny ma postać apostrofy do bohaterki, kobiety w jesiennym parku, spacerującej pośród spadających liści:

„Jesienie Mario spadają. Depczesz liście w parku,
by posłuchać tylko szelestu, z pustego orzecha.”

Wszystko w tym wierszu niesie znaczenia i emocje: delikatna instrumentacja, malarski sztafaż, bezpośrednie zwroty jako znak komunikacji, symbol pustego orzecha i poetyckie wezwania: „wstań”, i „dopisz aksamitny kolor serca” - jako kontrapunkty między obrazem spokojnego jesiennego parku a poetyckim napięciem.



Na tej ziemi jest tylko słowo - to już nie tylko tytuł wiersza, to autor-skie credo, z którego Zygmunt Prusiński buduje zarówno wiersze, jak i własne życie. Misją poety jest konieczność interakcji: „czytelnik / chce wiedzieć więcej. Poeci walczą z cieniami / obnażone światło muska kąt / uchylonej tajemnicy”, jak napisał w wierszu „Zapraszam do salonu ciszy”.

Na stronie szesnastej został zamieszczony liryk „Tańczą

komary wedle hasła: swój czas” dedykowany „Halinie Mackiewicz - córce pisarza”. Temat wiersza mieści się w głównym nurcie poetyckich penetracji Zygmunta Prusińskiego, tematem jest kontestacja politycznej rzeczywistości, a forma liryki zwrotu do adresata tworzy kontekst historyczno-polityczny.

„W kraju o głębokiej bliźnie która się nie zagoi
Gram na gitarze ciche melodie

- Dłaczego Józefie wciąż błądzimy,
I po drodze pytamy o szczęśliwy kraj?

Ty gdzieś znalazłeś miejsce,
Budzą się strony twoich książek,
Szeleści w nich i świerszcz i konik polny.”

Literacka spuścizna Józefa Mackiewicza, choć mało znana, stała się przedmiotem sporów sądowych. Jacek Trznadel tak konkluduje obszerne sprawozdanie w tej sprawie: „Jednej tylko rzeczy Nina Karsov nie potrafiła sobie zapewnić. Żadna z książek pisarza nie jest jej dedykowana. Dwie ważne książki są natomiast dedykowane jego córce, Halinie. Dedykacja przedwojennego Buntu rojstów: „Córce mojej Haluni, żeby poznała kraj rodzinny”. I dedykacja Sprawy pułkownika Miasojedowa: „Córce mojej, Haluni”. Powinien był się nad tym zastanowić sąd polski.”

Czy stąd tytuł wiersza, tyleż nieoczekiwany, co sarkastyczny?

Narodowa nuta, kraj opisany poetyckim słowem, muzyką, obrazami, wielkimi nazwiskami wciąż nie przystaje do współczesnej rzeczywistości, stąd kontestacja i konieczność pozostania opozycjonistą. W wierszu „Noszę Polskę w sercu” Zygmunt Jan Prusiński napisał:

*„Polska - kraina rosnących ciemi
w ludziach. Niby szczęśliwi na plakatach,
serca mają skrwawione bólem.
(...)
Polska - w obrazach Wyspiańskiego,
w strofach Norwida, w muzyce Szopena.
A naród wciąż bez spełnienia - jak żyć?”*

W podobnym tonie utrzymany jest wiersz „Pozwoliliśmy im, my, naród” z 21.01.2005 roku.

*„Jesteśmy wypaczeni bez różowego
wzroku, tańczymy kawałki
na drewnianej podłodze
smutniejsi od wyschniętej akacji
na rozdrożu.”*

Zygmunt Prusiński przywołuje kolejne nazwiska dawnych twórców, dedykuje wiersze poetom, czyni z nich bohaterów lirycznych wypowiedzi. Buduje w ten sposób własny panteon, jest jego strażnikiem i piewcą. W wierszu „Stachura, wieczne odbicie lustra” z mottem: „Czy dobrze, że Edward Stachura wrócił do Polski?” retoryczne pytanie tworzy oś wypowiedzi.

Fizyczny „powrót” Edwarda Stachury, urodzonego we Francji, był decyzją rodziców przyszłego poety, stąd pytanie z motta wydaje się niezasadne, niepraktyczne. Czym innym jest jednak *licentia poetica*, możliwość pytania o powrót mentalny, wręcz metafizyczny, do sedna polskości, bolesnych doświadczeń. Jerzy Fryckowski we wstępie do wierszy Zygmunta Prusińskiego napisał: „fascynacje mieszają się z marzeniami, bo jednak dochodzi do mylenia faktów” i wymienia nazwiska Romana Śliwnika, Kazimierza Furmana, przy których autor tomu „W ogrodzie Norwida” mylnie podaje informacje biograficzne. Dla usteckiego poety istotniejsze jest jednak odnajdywanie własnych „śladów”, poszukiwanie metafizycznej wspólnoty poetyckiego słowa. To jest dla Zygmunta Prusińskiego najważniejsze, tym się żywi jego twórczość:

*„Przechodzą na świat poeci i wielcy i mniejsi...
Irena Conti rzekła kiedyś do światła:
„że nie ma większych czy mniejszych,
po prostu jest się poetą”.*

*Edward sam w sobie był
tkanką tej białej melodii.*

*Powiem więcej,
słuchał go i halny wiatr
nocą.*

*Wracał poobijany i pijany
polnymi drogami,
zapisywał odbicia
śladów ludzi zwykłych.*

*Dla niego nie było salonów,
rozbiarał życie
poturbowane komunizmem -
kaleczył się tym słowem,
aż krew spływała po kamieniach.*

29.11.2008 - Ustka”

Edward Stachura „miał świadomość swej głębokiej niepraktyczności, wyłączenia, schowania w siebie.” Samotność poezji i poety jest faktem, myśl tę w różny sposób formułują wszyscy poeci. Tę właśnie „osobność i niepraktyczność” w twórczości Edwarda Stachury dostrzegł i słowem poetyckim opisał ustecki bard Zygmunt Prusiński. „Wymaganie od wierszy, aby były dla wszystkich zrozumiałe, jest absurdem. Powszechnie zrozumiałe są, a przynajmniej taka jest ich praktyczna powinność, piosenki i teksty reklamowe, a te - jak wiadomo - rzadko mają z poezją cokolwiek wspólnego.” - napisał Krzysztof Kuczkowski (Jeszcze większa samotność poezji w: „Topos 6” (73) 2003.



Część II: „Rozkwita pamięć po odeszłych i odchodzących”

Tytuł części II został zaczerpnięty z wiersza „W ogrodach jest późno na zachwyt. Wiersz pisany do Cypriana Kamila Norwida” z datą 10.10.2006. W poetyckim panteonie Zygmunta Jana Prusińskiego romantyczny poeta jest niedoścignętym nauczycielem:

*„nie ma dziś podobnego do Norwida -
są tylko pokraczne słowa.”*

W świeżo wydanej książce „Przez Ojczyznę i dalej... Szkice o literaturze i wartościach” Kazimierz Nowosielski zmieścił esej „Na co Polska? O chrześcijańskim patriotyzmie Norwida”, poświęcając po raz kolejny konieczność stałego odczytywania twórczości wielkiego romantyka, dla którego „wdzieranie się w głąb słowa, w głąb mowy, owo badanie dziejów słów i związanych z nimi sensów stało się jednym z najistotniejszych znaków rozpoznawczych”

Czy zatem „Wiersz pisany do Cypriana Kamila Norwida” Zygmunta Jana Prusińskiego jest odkrywaniem najgłębszych sensów polszczyzny, manifestem przeciw „pokraczności” poetyckiego języka? Czy raczej poszukiwaniem paraleli losu, sytuacji lub odpowiedzi na dylematy współczesności, kiedy...

*„polityka wdziera się nawet
do sypialni, posypana pudrem
czas wstyd zakrywa - a my tacy
niedołężni i z nadwagą
do snu wracamy?”*

... Czy też ubolewaniem nad upadkiem aksjologicznego heroizmu, jaki Norwid głosił twórczością i życiem? Przyjęcie formy „my” podmiotu lirycznego włącza poetę w zbiorowość, której Norwid zarzucał „nieoświecony patriotyzm” i „zaściankowość prowadzonej polityki” oraz kierowanie się emocjami, rozmywanie personalnej czy zbiorowej odpowiedzialności. „Z tego powodu, konstatował, niemal co pokolenie „rzeź” młodości oraz mniej lub bardziej prawdziwa żałoba narodowa, przeplatana kłótniami (...), a jego patriotyzm zbudowany na walorach rodzimości, która - jeśli chce być żywa - nie może na sobie poprzestać i sama sobie wystarczyć. Ojczyzna nie jest SEKTA - jeśli patriotyzm jest to siła twórcza, a nie siła wypojedyńczenia się i zeschnięcia” - przypomina Norwidowe credo Kazimierz Nowosielski.

Dlatego uważam, że refleksja nad sensem ogółu wypowiedzi literackich i epistolograficznych Norwida w twórczości Zygmunta Prusińskiego jest niepełna, choć w tomie „W ogrodzie Norwida” odwołań w postaci mott i dedykacji dla Norwida wystarczająco dużo, by wysnuć tezę o wysokim znaczeniu jego poezji. W wierszu „Podobni do siebie w miłości” ustecki poeta napisał:

*„Jam ostatni romantyk
zaokrąglam tę przestrzeń
w przymierzu przed ślubem.
- Zapłodnię cię w czasie urodzin...
Syn o imieniu Norwid na nas czeka!”*

„Pragniemy się wznieść” - pisze Zygmunt Prusiński w tym samym wierszu. Tęsknota rodzi projekcję w przyszłość, oczekiwanie na zmianę, odkrycie, jak w wierszu Norwida „Klaskaniem mając obrzękłe prawice”, gdzie pisał:

*„Syn - minie pismo, lecz ty spomnisz, wnuku,
(...)
Tak znów odczyta on, co ty dziś czytasz,
Ale on spomni mnie... bo mnie nie będzie!”*

Motywy takie, jak: poczucie osamotnienia, niezrozumienie i jednocześnie przekonanie o kreatywnej sile słowa są obecne w wierszach Zygmunta Prusińskiego i one właśnie, tak

to odczytuję, uprawniając usteckiego barda do wkroczenia do „ogrodu Norwida”. Jest jeszcze sprawa „ostatniego romantyka”, o dwoistej naturze. Wspominałam wcześniej o aktywności autora wierszy zebranych w tomie „W ogrodzie Norwida” na portalach internetowych, gdzie prezentuje własną twórczość i poglądy. I stąd właśnie moje zadziwienie - z jednej strony odwołania do Norwida, rozumiem, prawdziwe, szczere, uznające zarówno wymagania języka, jak i zasad; z drugiej oszczerstwa i ksenofobiczne wypowiedzi. Wyjaśnienia szukam przez twórczość Zygmunta Krasieńskiego, podejmującego problem dwoistości natury poety: „Przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś pięknością”. Niedoskonałość życia, ludzka ułomność z jednej strony, z drugiej dążenie do estetycznego ideału poezji stają się przyczyną osobistej klęski wybrańców sztuki.

Część III: Ustka, morze i Ewa

Zygmunt Prusiński skrupulatnie zapisuje miejsce i datę powstania prawie wszystkich utworów. Najstarsze wiersze pomieszczone w tomie „W ogrodzie Norwida” opatrzone są datą 1987 oraz miejscem powstania: Wiedeń, ponadto kilka wierszy powstało w Kluczewie Stargardzie, większość w Ustce, najpóźniejsze datowane są na listopad 2014 roku. Jednak nie klucz chronologiczny jest podstawą układu wierszy w najnowszym tomie usteckiego poety.

Jerzy Fryckowski, autor wstępu i współautor wyboru, pisze: „Mało jest Ustki, chociaż większość wierszy powstała w tym mieście. Pojawia się Paryż, Wiedeń, a obecna przystań poety tylko sporadycznie. To też jakiś dowód wyalienowania ze środowiska, ale jakże znany autorom, którzy wyrastają ponad lokalne rozgrywki towarzyskie, zwykłe ploty i anonimy. A przecież Zygmunt w Ustce zakotwiczył, mieszka tam od lat, może nawet żyć bez niej nie umie. Błąka się nadal ulicami Wiednia i Paryża, ale miłość ma u siebie, na wyciągnięcie ręki.”

„Paryskie” wiersze Zygmunta Prusińskiego datowane na 2013 rok powstały - według opisu autora - w Ustce. Nie ma sensu dochodzić, czy autor odbył podróż do Paryża, to nie ma znaczenia dla rozumienia liryków, w których przywołuje Edith Piaf czy Adama Mickiewicza.

*„Włóczę się po ulicy paryskiej
może spotkam Adama Mickiewicza
spóźnione trochę by zająć do kawiarenki”*

Poeta tworzy wewnętrzną przestrzeń znaczeniową, emocjonalną i zmysłową, nasyconą barwami i zapachami. Paryż pojawia się jako miejsce znaczące, ważne w polskiej kulturze, powiązane z konkretnym historycznym i kulturowym czasem. Paryż stanowi metaforyczną przestrzeń przywoływanych obrazów i motywów:

*„Sekwana mruczy jak pijana kobieta
ktoś ją w bramie dopieszcza
policja co jedynie w głównych arteriach
łapie powietrze syte
szukuję pióro by coś zapisać
o czerwieni ust nocy na Mémilmontant”*

Elementy topograficzne w funkcji metafory pojawiają się w wielu tekstach Prusińskiego, są znakami miejsc i czasu, tworzą kontekst kulturowy i literacki lirycznej wypowiedzi, jak w wierszu „Bajkowa kwiaciarka”

*„Zatrzymuję się przy strumieniu
tu kiedyś Słowacki pisał:
„I pomyśl, czy ja duszę
mam powszednią?
Ja - co przebiegłszy świat -
kochałem jedną”*

Zastępuję go w ciszeniu”

Eksklamacja z „Beniowskiego” jest jasna, zastępuje wypowiedź podmiotu, pozwala na rodzaj utożsamienia. Jest znakiem rozumienia opartego na przenikaniu się i zderzaniu zjawisk kultury. Pozwala swobodnie doświadczać czas i miejsca, oswajając je, pozwala na przenikanie się i napełnianie ich indywidualną treścią. Toposy przestrzeni, znaki miejsc stają się indywidualnym sposobem ekspresji, organizują wypowiedź, a gra dosłowności i niedosłowności tworzy napięcie.

„Budowałem latami to miasto.
Całe życie zbierałem chrust
By ogniska pachniały i kobiety
Wokół w sukienkach i czótenkach.
(...)
To nic nie szkodzi że moje miasto
Maluję wciąż na płaszczyznach snu”

W wierszu „To wschodnie miasto” z dedykacją Zbigniewowi Herbertowi autor pisze o Lwowie widzianym przez lekturę wierszy Adama Zagajewskiego, zdaje sobie sprawę, że „to wschodnie miasto dawno umarło”, a „pokora szuka furtki do wiecznej historii”. Kształtowanie wewnętrznej poetyckiej przestrzeni odbywa się ponad rzeczywistą topografią, zyskując walor niemal mityczny. W taki kontekst poetycki autor wierszy z tomu „W ogrodzie Norwida” wpisuje elementy pejzażu Ustki: plażę, wydmy, morze: miłość i przekleństwo małomiasteczkowego folkloru:

„Szwenda się tu taka jedna
Zaczepia rybaków by wypić piwo
Sakralny napój by potem
Szczuć w zaroślach i na dodatek
Przeklinać biedne pokrzywy”

W wierszach Zygmunta Prusińskiego nawet kobiecość staje się elementem przestrzeni:

„Szukam w kobiecie krainy,
złotej myśli poezji
może połączę lasy i rzeki
tylko dla wybranych”

Jednak pierwiastek kobiecy zyskuje konkretyzację, ma własne, symboliczne imię Ewa, dla niej poeta opuszcza parnas i przygotowuje zupę pomidorową, ale skazany na miłosną porażkę, „pomidorową wystygłą z uczuć” „wylewa do ogrodu.” Pozostaje tylko wierszotwórcze pragnienie: „gdybyś była przy mnie Ewo”. Poezja rodzi się w samotności, czego autor ma świadomość. „Remanent życia / jest do dupy!”, pozostaje zatem wrócić z książką „W ogrodzie Norwida” - (...) o samoczynności i samotności / w oczach Stwórcy”. Dlatego trzeba też wrócić do początku, bo „Na tej ziemi jest tylko słowo”, co Zygmunt Prusiński zapisał 12. 11.2008 w Uście.

Czesława Długoszek, Objazda

Zygmunt Jan Prusiński: „W ogrodzie Norwida”, Starostwo Powiatowe, Słupsk 2014.

Iwona Danuta Startek („jeśli chcesz wiedzieć”)

Mało znani, co
nie znaczy mało
ważni. Zwykle są
zaczynem wielu
działań kultural-
nych w regionach,
z których pocho-
dzą. Ich twórczość
nie zajmuje uzna-
nych krytyków
i recenzentów, cie-
szy się natomiast
zainteresowaniem
czytelników, odnaj-
dujących w niej
własne sprawy
i uczucia



To dlatego są mi bliscy. Czytam ich utwory, a wrażenia i refleksje z lektury zapisuję, nie pretendując do wielkich rozpraw krytycznych. O autorce wiem tyle, ile podpowiada internetowa wyszukiwarka: Iwona Danuta Startek - poetka z Biłgorajskiej Plejady Literackiej. W 2013 roku Biłgorajskie Centrum Kultury wydało piątą w jej dorobku tomik poetycki „Zakola leniwych rzek”, z utworami nagrodzonymi Złotym Radomirem w Ogólnopolskim Konkursie im. Zbigniewa Herberta, I miejscem w Ogólnopolskim Konkursie im. Władysława Sebyły, również I miejscem w Ogólnopolskim Konkursie im. Bolesława Leśmiana.

„Po siedmiu latach od poprzedniego zbioru nadszedł czas na wydanie kolejnego tomiku. Uzbierało się trochę wierszy, o których zaczynam zapominać, że w ogóle je napisałam. Dlatego oto są zebrane razem. 59 utworów - dużo to czy mało? Zależy z jakiej perspektywy spojrzeć.” - wyjaśnia autorka.

Wcześniej czytelnicy otrzymali tomiki poetyckie: „Poziom trawy” (Biłgoraj 1997), „Dotknięcie nieobecności” (Liege 2004), „I nie wiadomo...” (Biłgoraj 2005), „Siedem świtów” (wspólnie z Lidią Startek, Biłgoraj 2006).

W innym miejscu w sieci autorka przedstawia siebie w taki sposób: „Nałogi: poezja, muzyka klasyczna, opera, kawa

(kolejność dowolna). Miłośniczka twórczości Homera i Teodora Parnickiego (oraz setki innych Wielkich). Nieznająca umiaru w nocnym czytaniu i słuchaniu muzyki, dlatego często niewyspana.”

A gdybyśmy chciała wiedzieć więcej? „Niedpowiedź”, podejmując metaforę autorki, znalazłam w liryku:

„jeśli chcesz wiedzieć

*za te ważne interesy i sprawy
na osobnych planetach priorytetów
nocne nierozmowy gdy milcząc
będziemy wspominać osobną przeszłość
i te minuty godziny wybrane oddane
za kęs wspólnej przestrzeni
za haust powietrza*

*za irytacje perturbacje zapomnienia
dziwne podziały na schowki i pudła
o które się będziemy potykać
lawirowanie między rozsądkiem
a niemożnością ustalenia granicy
ciszy i rozmowy
za którą bylibyśmy jak manekiny na wystawie
jednakowi obliczalni przewidywalni*

*za to wszystko co nas dzieli
ustawiając w szeregu banalnych historii
zrodzonych z nieporozumień*

za to cię znienawidzę

*a poza tym
będę szczęśliwa”*

(<http://www.poezja.exe.pl/iwona-danuta-startek.html>)

Już pierwsze zdanie warunkowe: „jeśli chcesz wiedzieć”, ogranicza aktywność poznawczą czytelnika. Stanowi zarówno tytuł wiersza, jak i rodzaj apostroficznego wprowadzenia w istotę monologu lirycznego. Zapisane w jednym wersie, opisuje sytuację: czas i okoliczności lirycznego zdarzenia, zasady spełnienia warunku, drogę dotarcia do istoty, czyli drugiej połowy zdania.

No dobrze, a gdy warunki zostaną spełnione? Jeśli już się wszystko wypełni? Odpowiedź została zapisana w zakończeniu wiersza jako konkluzja wypełnienia warunków, którym podlegamy w dążeniu do poznania, zarówno w jednostkowym planie mikrokosmosu, jak i w planie makro. Każda bowiem wiedza odbiera niewinność, nakładając obowiązek odpowiedzialności. Dlatego odpowiedź wydaje się zaskakująca, przewrotna:

„za to cię znienawidzę

*a poza tym
będę szczęśliwa”*

Aspekt poznawczy zastępuje ostatecznie emocjonalna, w rozumieniu potocznym, reakcja. Emocjonalne rozumienie jest jednak niepełne, bo co to naprawdę znaczy: „będę szczęśliwa”. Projekcja przyszłości? Czy to tylko jedyny cel, do którego dążymy? Już starożytni filozofowie uznali, że szczęście jest wartością ważną dla wszystkich. Eudajmonia, szczęśliwy los, szczęśliwe życie było podstawą aksjologicznych wyborów, w zależności od rozumienia pojęcia szczęścia.

Jakich wyborów trzeba dokonać, by kategorię wyznaczyć: „a poza tym / będę szczęśliwa” miało sens?

Trzeba wrócić do monologu lirycznego, skierowanego do wyraźnie określonego adresata; ale mogę być nim ja, ja jako wewnątrztekstowy interlokutor, i ja jako czytelnik, pozatekstowy odbiorca. Chcę „wiedzieć”, zatem muszę rozpoznać warunki jakie stawia „ona”, zamknięta w językowej formie czasownika.

Na pierwszym planie ciąg ostrzeżeń, zdefiniowanie pułapek życia, prowadzących do „szeregu banalnych historii / zrodzonych z nieporozumień” i twarda zapowiedź: „za to cię znienawidzę”. Życiowy banał, zmarnowana szansa, historia niezstania z powodu niedojrzałości i nieodpowiedzialności nie może być udziałem człowieka świadomego jednostkowej drogi do eudajmonii.

Forma czasu przyszłego dokonanej ukształtowania poetycko w neologizm przywołuje własne przeciwieństwo: miłość. Antonim nie wprost wyrażony ewokuje alternatywny porządek świata przedstawionego, innego niż ten, gdzie „nocne nierozmowy”, „osobna przeszłość”, „dziwne podziały” i słowa obce poetyckiemu kanonowi: „priorytety, irytacje, perturbacje”.

Po przeciwnej, niezapisanej stronie wiersza jest to, czego szukamy w życiu, co jest jego istotą: bliskości „wybranej”, niemal ewangelicznej ze wspólnotą stołu, do której nawiązują metafory:

*„za kęs wspólnej przestrzeni
za haust powietrza”*

Po niezapisanej stronie wiersza jest tęsknota za bliskością w błahych zdarzeniach, codziennością, w której wzajemnie się kształtujemy, realizujemy własne człowieczeństwo, bez masek i póż, gdzie zbędne jest

*„lawirowanie między rozsądkiem
a niemożnością ustalenia granicy
ciszy i rozmowy
za którą bylibyśmy jak manekiny na wystawie
jednakowi obliczalni przewidywalni*

W świat przedstawiony, budowany na zasadach poetyki negatywnej, poetka wprowadza znaczenie ciszy, „nierozmowy”, milczenia. „To zwykłe, codzienne doświadczenie ciszy, buduje intensywną i zagmatwaną siatkę powiązań, sensów i dyssensów, którymi spowita jest kultura. Taka cisza istnieje w codziennych kontaktach międzyludzkich, buduje je, umacnia, czasem oczyszcza i zbawiennie destrukuje. Zbliża i oddala” - pisze Aleksandra Kunce w esej „O ciszy” opublikowanym w „Anthropos” nr 4-5/2005”.

Pomysł poetyki negatywnej stosowali Stéphane Mallarmé, a także Bolesław Leśmian, Jarosław Marek Rymkiewicz, którego poetykę negatywną przeanalizowała Dorota Wojda, także Ryszard Krynicki i inni. Mistrzynią poetyki negatywnej, budowania świata przedstawionego na podstawie negacji była Wisława Szymborska w wierszach, takich jak: „Dworzec”, „Kot w pustym mieszkaniu” czy „Rachunek elegijny”.

Iwona Danuta Startek w jakimś stopniu nawiązuje do zasady przekornie wyrażonej przez Mallarmego: „Nazwać jakiś przedmiot, znaczy odebrać trzy czwarte przyjemności poetyckiej, która polega na stopniowym odgadywaniu; zasugerować - to dopiero ideał”. Koncepcji odwróconego rozumienia poetka podporządkowała wersyfikację i metaforę wiersza. Przerzutnie, antytezy i metafory tworzą obraz codzienności odwróconej. Z jednej strony pragniemy bliskości, z drugiej - wciąż natrafiamy na „dziwne podziały na schowki i pudła.” Tak, poetka tworzy obraz kruchych, zawodnych ludzkich więzi, „potknięć” we wzajemnych relacjach. Mimo to powstaje nadrzędny plan sensownego życia z prywatną teorią szczęścia jako harmonii, która powstaje wciąż w wiecznej ambiwalencji, z pragnień i obaw, nienawiści i miłości wzajemnie się definiujących. Dlatego wyznaje kategorię: „A poza tym / będę szczęśliwa”. Jest w tym buńczucznym wyznaniu kobieca przekora i humor, jest też puenta poetyckiej zabawy z lirycznym „ty” i z czytelnikiem. Tak to Iwona Danuta Startek skromnym nienumerycznym lirykiem realizuje założenia francuskiego poety, nie odbierając ani sobie, ani czytelnikowi „przyjemności poetyckiej”.

Czesława Długoszek, Objazda

wiersze najnowsze

Andrzej Szczepanik, Bytów

OGRÓD UŚPIONY

wszystko pięknieje srebrem w nocy
księżycowym blasku
z nieba opada marmurowy pył
nasączony chłodnym światłem
wygładza szarą szorstkość budzi
natchnienie i unika w duszę...

księżyc zagląda skrycie w uchylone okno
szuka niespełnionych marzeń...
lunatyczny niepokojący jak zjawą
czuwa nad milczącym sadem pełnym
kucających cieni
ukrytych w drewnianych szpalerach
zalanых sennym światłem

kiedy świt wpęła w mrok ogrodowych
zakamarków
księżyc już tonie w nieruchomej ziemi stawu
i wciska się chytrze pomiędzy nenufary
drżące w resztkach letniej nocy

PŁOMIEŃ ZADZIWIĄJĄCY

...kim byłem gdy płonął myślą
nieustannie pewny i drżący żarem

rozchwiany i szczęśliwy
tonałem w objęciach miłości łapczywej

ile oktaw potrafiłem objąć radosną muzyką
zabrznieć mroczną lub radosną nutą
gdy ogień natchnienia nagle strzelał
iskrą wypełniał i poganiał...

był we mnie płomień podsycany odwagą
wnosił się i myślą powracał w świat bez troski
noc nie była nocą a dzień do końca dniem

lecz nagle ktoś wyłączył światło...

moje wnętrze wypełnia teraz płomień nikły
zmieniając w popiół papierowe myśli
spłonęły wspomnienia dawniej zapisane
a oddech natchnienia snuje się skrycie
jak dym z gasnącego ogniska

Emilia Maraškiewicz, Darłowo

WIERSZ

napisany frazami
zrozumiałymi dla wszystkich
odradza się co jakiś czas

niby feniks z popiołów
chroni najważniejsze od niebytu
wbija drżącą niedopowiedzenia

dopóty drażni naszą duszę
dopóki nie pochylimy się nad nim
jak matka nad kobyską

NA POWITANIE WIOSNY

w ciepłej muzyce wiatru
wyszczyliły krokusy
promiennym uśmiechem

piszą pachnące listy
drobniutkim żółtym pyłkiem
patrzą w życzliwe słońce

gdy pustkę po śniegu
wypełnią kielichy krokusów
dusza współgra z zielenią

Anna Boguszevska, Słupsk

MYŚLI JAK SPŁOSZONE PTAKI

pełna starych wspomnień
srebrnowłosa głowa
z uśmiechem na ustach
przemierza ścieżki codzienne

huśtawkę nastrojów goni życie
zmęczone zawieruchą serca
myśli jak spłoszone ptaki
trzepeczą w głowie

otwórz szkatułę marzeń
szepty nakarm oddechem
śpiesz się złapać resztki
napaść zachłanne oczy
poczuć ból radości
napełnić miłością
ciągle młodą i głodną duszę
zanim odejdiesz...

Małgorzata Ortman, Słupsk

Wojny nie są dla tchórz.
To chwala, order
należne bohaterom.
Na kartach historii
zaszczyty, pomniki
od greckiej wazy
po czas nieskończony.
Tylko, cios za ciosem

w orszaku mundurów,
bez granic, bez człowieka.
Ojciec czy warto tak,
komu to służy?
Naucz mnie być żołnierzem
Miłości, Pokoju.

Zdziwieniem pod stopami
opadły liście z drzew.
W zbutwiałych sukienkach
bez światła, bez nadziei.
Zapomniały o nich wiatry.
Nie zaproszą do tańca
przy dźwiękach gitary.
Zostawiły melancholię,
drżące chwile przed zimą,
sen na krawędzi drogi.
Rozwiały w przestrzeni
zapach łąk zielonych.
Wietrze wracaj!

Małgorzata Wator, Gdańsk

RANDKA

Spotkajmy się w drodze do Słupska,
Będę w Elblągu o godzinie 17:05
dojadę się, to pojedziemy razem.
W międzyczasie
Zmień plaster, bo krwawisz.
Czekam.
Szosuj do mnie, w kapciach z gumką na pięcie
Bądź jak łyżwiarka marmurowej
posadzki muzeum,
W wiecznej konspiracji.
Pamiętaj aby skryć się przed wrzosową
bileciarką.

W związku z czym,
Przytul się małymi parzydełkami,
do zbrojnego rycerza.
A upodobisz się do egipskich kolorowanek
W wielkości jelita.
Listonoszem przyjdzie sen,
Rozjeździemy się nad ranem.
Amfetamina wyfrunie z laptopa.

SŁONOWICE

Kadr nadjeżdża z tyłu sunąc po szynie
do przodu,
Filmując czubki drzew.
Etykieta nakazuje
Zachować powściągliwość,
Nawet jeśli to co słyszysz odbiega od
Twoich obecnych standardów,
Jesteś dorosły. To co różni Cię od
dziecka to, że zamiatasz pod dywan
Zburzone babki, zniszczone zamki fal.
Jeśli przez bursztyn przechodzi światło -
znaczy, że jest bursztynem.
Jesteś dorosły. Wręcz powinienes

pogodzić się z tym, że
Kaseta cofana na magnetowidzie,
puszczona znowu klawiszem play
Do przodu, nagra coś zupełnie innego.
Wyspowiadaj się,
Potem odstoń rolety,
Otrzęp ręcznik ze styropianu.
Butonierka niewinności, wcale nie
wróży nic dobrego.
Klawisze pianina, absolutnie nie
oznaczają klasówki.
Co gorsza kreda malująca wisielca w
rogu tablicy,
Nie łącz się na wi-fi z matką.

Jadwiga Michalak, Naćmierz

UCHODŹCY

sęp wojny rozłożył skrzydła w przestworzach
tam ludzie giną w morzu nienawiści

niepewna noc i dzień
brak domu, pracy, jedzenia
przerażenie, panika, zwątpienie
w imię czego człowiek niszczy człowieka

dzieciom brakuje też
nauwie wierzą w dorosłych
suchą stopą przejdą przez morze
granice otworzą serca

plaga XXI wieku
człowiek człowiekowi wrogiem
nie chcemy tej zarazy

u nas wszystko poukładane
schłodnie czysto w granicach
po co nam kostka Rubika

szaleństwo obłądu i strachu
silniejsi prężą muskuły
w imię czego pokonać chcą słabszych
zamienić świat w rumowisko
opętani żądzą niszczenia

czy to jeszcze ludzie
czy też bestie dzikie

Grzegorz Chwieduk, Kępice

ANIA

Była moją najlepszą kuzynką.
Umierała powoli,
gryząc ze łzami w oczach poduszkę,
prosząc o środki przeciwbólowe,
które coraz mniej działały.
Usiłowała się uśmiechnąć,
kiedy zobaczyła mnie wchodzącego
do jej sali w hospicjum.

Hamowałem łzy,
tak bardzo chciałem,
by nie cierpiała.
A potem, w którymś momencie
łóżko w hospicjum było puste.
Biel świeżego prześcieradła
poraziła mnie, gdy wszedłem.
Było majowe popołudnie,
najpiękniejszy moment wiosny.
Drzewa kwitły bajkowo, magicznie,
a ja ryczałem jak bóbr.

Marian Kwidziński, Białogard

WYSTARCZY MI TWOJA MIŁOŚĆ

Gdy słodki sen już nie chce przyjść
za oknem śmieje się młody maj
wystarczy mi przy tobie być
pod powieką dojrzewa łza

Gdy miły gest zamyka się
w żaluzjach spieczonych ust
gdy rośnie w nas zawziętość zła
jak niewidoczna, ukryta rdza

Wystarczy mi twoja miłość
jak świeżej czereśni smak
wystarczy mi twoja miłość
gdy do mnie w ramiona szłaś

Wystarczy mi twoja miłość
Jak dawno kwitnący sad
wystarczy mi twoja miłość
jak drobno przesiany mak

KRÓTKI KOMENTARZ DO SNU

A miało być jak we śnie
mieliśmy być nieśmiertelni
na flaneli rozrzucone korale też
festiwal zmysłów nieodgadniony

tylko diabeł jak zawsze
robi swoje
zawsze nas dopadnie

Zenon Marian Lason, Słupsk

W CISZY OGRODÓW

W mroku tajemnic
płoną pochodnie bogów
- noc szeleści marzeniami
w ciszy ogrodów

Źrenice nasze szukają
bezkresnych ścieżek
do uśpionych mgławic

Nad głowami wiatr
załopotał skrzydłami
i porwał do tańca
umarłe motyle

Wśród drzew nagich - księżyc
pomalował srebrem
wieś zaspaną

Z otchłani meteoryt błysnął
strzałą Amora
raniąc nasze serca
w noc bezsenność

Aldona M. Peplińska, Motarzyno

WTEDY CHCE

Kiedy budzą mnie kadry wspomnień
Lat cukierkowych
Oblanych słodyczą dzisiejszych pragnień
Wstrzymuję oddech
By trwać w tym deserze
Upajać się barwą niezmaczonych przeżyć
Bez lęku otwierać
Każde drzwi wyzwania
I śmiać się, śmiać do łez
Łez pożądania...

BO W IMIĘ CZEGO?

Nie bój się dotknąć pragnień
Choćby z kruchego ciastka były
Albo wiszącego niepewnie
Listka barwnej wiosny
W pocałunku jesieni

Niech nie będzie przymrużonych
Spojrzeń w purpurze czerwieni
Weź prezent owinięty wstążką uniesień
Beztróskiego oddania z przypiętym kwiatem
Zaufania białych kropel

Lecz gdybyś z lękiem sięgał po diament
Którego blask pali Twe zmysły
I oślepia spojrzenie serca
Cofnij dłoń
I odejdź bez pożegnania

Nie potrzeba więcej popiołu
Spalonych marzeń.

Teresa Ławecka, Słupsk

WIECZORNE ZASŁUCHANIE

Dzisiaj
Każdy atom
Mojego ciała
Został dopieszczony
Trzepotem
Błaszących skrzydeł
Motyla
Byłam smyczkiem
Tańczącym z kontrabasem
Kryształową łzą wibrafonu
Scaloną kompozycją
Wróciłam do rzeczywistości

FAŁSZYWA SKROMNOŚĆ

Mówię
Wszystkim naokoło
Jestem
Szarą myszą
Pragnę dostać
Wielki kawał sera
Żółtego
Jak światło miłości
Thustego
Dostatkiem blasku
Ile trzeba
Mieć doświadczenia
Żeby nie wpaść
W pułapkę próżności

Emilia Zimnicka, Izbica

WOJNY

Wiecznie krwawiące rany
Na żywym ciele ludzkości
Idą z nią przez historię
Poczynając od kamienia
Pracy, maczugi
Po inteligentne bomby i rakiety
Ten bezmiar podłości
W niszczeniu człowieka
I jego dzieła

KIEDY W RADIO

Kiedy w radio śpiewa
Swe pieśni Sława Przybylska
W serce spływa rzewna tęsknota
Z nią promień słońca złoty
Na szare może trudne życie
Wtedy majster Grisza wszystko
Naprawi
I wypędzi z naszej Ojczyzny
Psotne myszy
Hej Bułacie Okudżawo naszej
Młodości bardziej cudny
Tyś nam w dusze marzenia wkładał
Drogi Bułacie mądry bracie
Nasz
Choć Ciebie wśród nas nie ma
Głębie serc polskich dusz znasz

Beata Kosicka, Słupsk

MOJA WIOSKA MALEŃKA

Jeszcze śniegi pokrywają pola,
jeszcze drzewa cisza otula,
a już szemrzą wartkie strumyki,
niczym pszczoły z ula.

Jeszcze las nie wita zielenią,
barwnym kwieciem nie ngci łąka,
a już widać zielone trawy,
przebiśniegów stulone pąki.

Moja wieś woła nieustannie,
szarym niebem zaprasza,
popękana, asfaltowa droga,
jest dla mnie aleją radości.

Tak tu cicho, przyjaźnie i swojsko,
lód, bagienek skuł wodne lusterka,
krzykiem ptaków woła mnie dzisiaj,
moja wioska zwyczajna, maleńka.

Zostawiłam tu kiedyś swe serce,
oprawiłam je w nieba błękity,
ozdobiłam bielą stokrotek,
tak niewinnie w trawach ukrytych.

Zostawiłam duszę wśród lasów,
w smukłej brzozie znalazła schronienie,
śpiewa wiatrem utkanym z poezji,
splata rymy lekkim drżeniem.

Jan Kulasza, Strzelce Krajeńskie

GDZIE ONI SĄ

Gdzie są Adam i Ewa
po swoim ziemskim życiu

Adam został ulepiony z gliny
i po śmierci zamienił się
w glinianą urnę

Ewa została stworzona z żebra Adama
więc tylko żebrem mogła pozostać
a może jest kotka w jego glinianej
urnie

Nie. Żebro jak cały Adam było
ulepione z gliny i tylko gliną
mogło pozostać
Czy po naszej śmierci za sto czy
dwieście lat ktoś odnajdzie nasze kości

Próżno by przekopywać cały Eden
by cokolwiek po Adamie i Ewie odnaleźć
Nic znaleźć się nie da
jak i nic nie znajdzie się po nas
Z prochu ziemi człowiek powstał
i w proch się obróci

Teresa Nowak, Łupawa

BEZ SNÓW

Budzić się,
Nim sny wślizną się pod powieki.
Dzień zaczynać,
Nim świt się leniwie przeciągnie,
A ciało stężeje,
I serce przyspieszy.
Przetruwać dzień,

By utrudzenie w objęcia wzięło.
I usiąść wieczorem,
Nie patrząc na pusty fotel.
Nie nasłuchiwać kroków,
Które nigdy nie zabrzmią.
Przesuwać się,
Nie dotykając pustych miejsc.
I nie spotkać się ze snem,
Co zawsze jest z „wczoraj”
A czasami z „jutro”.

TANCERKA

Przypadła w tanecznym piruecie,
Gdy cichutko opuścić zapragnęła zimny grób
Uwięziona na ziemi czubkami baletek
Z tęsknotą do nieba wyciąga ramiona.
Zastygła w pół obrotu.
Już nie tu
A jeszcze nie tam.

Mosiężnie lekko
Znieruchomiałe w tęsknocie
Winuje w tańcu

Zygmunt Jan Prusiński, Ustka

WIERSZE KTÓRE TWORZĘ..

Jeśli to dar to nie dziękuję
jeśli ktoś z przodków był poetą
to też mu nie dziękuję,
wystarczająco poznałem trud
powstawania wierszy -
opisywać codzienność nie jest łatwo.

Kojarzę leśną ścieżkę
cnotliwość jak kwiaty lnu błękitom sprzyjają,
nie widzę człowieka.

Ale to ścieżka ma przyjaciół po dwu
stronach drzew -
i to są tendencje dla mnie bliższe
od mijających ludzi na betonowych
chodnikach.

Jedyny powód to ty Panno M.
kontynuuję ten różowy zapis by się
zmieścić w wierszu,
złożyć hołd przyrodzie w stylu pocieszenia
za miłość w której rozpalam instynkt odnowy
w boskiej obsadzie ról -
jakby ów intymny świat był ważniejszy
od spowiedzi.

Bądź jaśniejsza -
odbieraj słowa rzeczywiste z uczuć drzew
i z tej ścieżki po której idę do ciebie.

20.1.2016 - Ustka, środa 13:28

Poeta z liptowskiej strony Tatr



Twórczość Milana Rúfusa jest uznawana dziś za jedną z najwybitniejszych w literaturze słowackiej II połowy XX wieku. Nazywano go księciem słowackiej poezji

Milan Rúfus (1928 - 2009), to słowacki poeta, eseista, translator, historyk literatury i wykładowca uniwersytecki. Autor dwudziestu czterech tomików wierszy i trzech wyborów poezji, jedenastu książek dla dzieci i młodzieży oraz sześciu esejów. Tłumaczony na wiele różnych języków. Sam przekładał m.in. z rosyjskiego, norweskiego, hiszpańskiego i czeskiego. Od roku 1991 kandydował do literackiej Nagrody Nobla.

Urodził się w Zavažnej Porubie na Liptowie, czyli za Wysokimi Tatrami patrząc od polskiej strony. Syn murarza, edukację rozpoczął w szkole ludowej. Maturę uzyskał już po wojnie w Liptowskim Mikulaszu. W latach 1948 - 1952 studiował na Uniwersytecie im. Komeńskiego w Bratysławie i został pracownikiem tej uczelni (pedagog na Wydziale Filozoficznym, doktorat w roku 1952). W karierze naukowej osiągnął habilitację i docenturę. Wykładał też we Włoszech w Neapolu.

Wiersze zaczął pisać ponoć od dziewiątego roku życia. Ale na pierwszy tomik musiał poczekać do 1956 roku. Chyba stąd tytuł debiutu „Až dojrzejemy”. Poeta jeszcze za życia doczekał się uznania. W pięciomilionowej Słowacji jego książki sprzedawano w kilkudziesięciotysięcznych nakładach.

Artur Bok-Szwabowicz, Warblino

Milan Rúfus

JESIENNE STADO

Już nie pasę. Jeszcze tylko w dźwięku
włucham rolę
i czuję, że stygnie.
Uschłe źdźbło trawy w usta kole.

Już nie pasę. Jeszcze tylko przyglądam się
lekkim krokom sadownika.

I czekam, co nam jest sądzone.

POGÓRZE

Jakby stolem past swoje stado
i drzemał ukryty gdzieś w nim,
tak tu jest stale.

W letnie południe
opadają wypełnione boki krów,
kiedy stado leży i milcząc - w skupieniu
z przeżutej trawy miele mączkę mleka,
a pod skórą szumi mu biała rzeka.

Tak to tu trwa.
Grzbiety mamucie,
których nie ima się żywioł i czas,
ocierają się o siebie, pielgrzymując do
wieczności.

I w rytmie, w którym pulsują fale,
zawsze rozpoznają, co jest ukryte w nas.

I co mają ukryte w sobie,
nasze kości.

PODWIECZOREK

Twoje sztuce, włóścianinie,
twój obrus.

Zawsze z konopi grubych
jak powróż
na ramionach twoich kobiet,
niosących płachty siana.

Przez twoje ramiona, piękno,
zawieszone
na ubogiej i cienkiej gałęzi.

Twoja zastawa, człowieku,
twój ziemniaczek!

A sól?
Znajdziesz ją na twarzy.

SIANOKOSY

Strzygą owieczkę.
Nieczesane, mięciutki
rozsypuje się w lekkie obłoczki,
że unieś je w palcach
mógłby malec.
Zwijają obrzeżone runa.

Owieczka jest spokojna.
Ma wstęgą drogi spętane nogi
i wie, że musi.

Słońce nad nami,
bądź cierpliwe, troszkę oświeć,
zmrzuź i przyknij oko.



MAMA

Nie trzeba wielu słów
dla miłości - jestem pewien.
Kropla z kwiatu
i blask na liściu.

Nie potrzeba, nie trzeba...
Tylko linia. Ale linia
jakby ją wyprowadził
z kolorowego kalendarza,

co wieki przewracały
jej szorstkie, delikatne palce,
zawsze pełne kolistych szczelinek
czarnych od omiej ziemi.

Ścisż, poeto, fanfary
i nie poławiaj słów.
Spokojnie dobniemy
w spokoju do domu.

Zgaś fajerwerk,
stłum tęczę z morskiej piany.
Sięgnijemy tam pamięcią,
choćby zza morza łez,
nawet osłepieni ścianą płaczu.

SUFIT

Wiecznie drewniany pułap
niziutko nad głową.
Co Bóg dał,
w złote ręce brał.

Albo w gniewie (on i ja)
wygrażał pięścią niebu.
Przylepiła się jemu hostia
do suchego podniebienia.

Nosiła ślady po nożach
drewniana powała.
Co do niej człowiek przyłożył,
uważnie schowała.

Zamek, zasuwaj i klucz, co otwiera
z trudem i niepewnie
drewniane niebo bednarza
tuż nad głową strop.

W jaskini pamięci pełga wieczna
lampka,
a z powały opada gwiazdny pył.

I śmierć ma złote włosy, gdy z niej
wychodzi,
od razu odmłodziła niby dziewczynka,
że jest niemal piękna.

Kraina niczym wieczorne organy
cicho grzmi...
Wysokie rejestry
gra światła.

I chorał, stary chorał
snuje się po lasach.

Dzień dobry, moi umarli.

CO JEST POEZJA

Położ na stole rzeczy elementarne jak chleb
lub wodę.
Albo pomiędzy dwa palce ziarenko soli.
To jest wiersz.

Nie następuj przy tym na pięty.
Tym bardziej nie stawaj na palcach.
Masz czas. Z głębokości
wyrwiesz okowy, lecz na źródle
nie zbudujesz domu ni schronu.

Gdy pstrągi pociągną w górę Jordanu,
nie kupuj nurtu, wiedząc, że rzeka
nie składa się tylko z ryb.

Bowiem to o wiele więcej,
wszak poezja bogatsza od słów.

Nie kamień.
Rzeźba. Żona Lota
- to jest poezja.

SZCZĘŚCIE

Włóczy się. Gubi podkowsy.
I nie wraca po nie. Wystarczy mu.

Więc nie przybijaj, głupcze! Nie łap
gorącego żelaza. Zrozum!

A tańczujże z takim ciężarem u nóg
na pośmiewisko. Nigdy nie uwierzysz,
że to boli.

Tak samo cierpi nietoperz,
gdy zawraca w locie.

Z BOGIEM SŁOWACJO!

Bóg gotował w kociołku
jak baca pod chmurami.

I przez milenium podkładał
do ognia leśny chrust.
Przez tysiąc lat parował ludzki pot
i wrzały człowiecze łzy.

Wreszcie ten kamień skruszał,
powoli zmiękł.

Daremnie duszono twarde krucze mięso.
Jak zęby na nim połamane,

głęboko w ziemi świecą ludzkie kości.
Jak dziki biały kiel - turnia obgryziona.

Z niego nasypiano do niskiej stodoły.
Starczyło na owies, na ziemniak bulwiasty

i to śmieszne jabłko dla jego ubogich świętych,
w płaszczach przeoranych mgławicami moli.

**Ze słowackiego przełożył:
Artur Bok-Szwabowicz, Warblino**

Artur Bok-Szwabowicz, ur. 1955 w Krakowie. Absolwent polonistyki Uniwersytetu Gdańskiego, a także bibliotekoznawstwa i informacji naukowej Pomorskiej Akademii Pedagogicznej w Słupsku. Jako poeta debiutował w 1976 roku w „Poezji”. W latach 70. uczestniczył niemal we wszystkich wystawach poezji konkretnej i wizualnej w Polsce. Był wówczas najmłodszym z polskich konkretystów. Należał do studenckiej grupy poetyckiej „Klepsydry” (1974 - 1976) WSP oraz „Nowe Żagary” (1978 - 1980) UG. Był członkiem Koła Młodych ZLP w Gdańsku. W latach 80. uprawiał krytykę literacką, dziennikarstwo i fotografię prasową. (Z)

Stara fotografia

- ciąg dalszy ze str. 1

Było tam wszystko, poczynawszy od starych zabawek, aż do potrzebujących renowacji rowerów. Stojąc przez jakiś czas i obserwując miejsce i ludzi, zorientowała się, że klienci dobrze znali właścicielkę straganu. Ona wyszukiwała z pozoru przypadkowe starocie konkretnym osobom, nawet nie pytając, czego szukają zupełnie jakby czytała w ich myślach. Ewa zbliżyła się, wbrew sobie zafascynowana tą rodzinną atmosferą. Nagle poczuła na sobie czujny wzrok właścicielki stoiska.

- Nie widziałam ciebie tutaj. Szukasz czegoś konkretnego, czy tylko chcesz się przyjrzeć? - spytała swobodnym tonem.

- Ja tylko... Właściwie nie wiem, przyszedłam po marchewkę i... - Ewa poczuła, że się rumieni. Co za bzdury wygadywała! Zachowywała się zupełnie tak jak wtedy, gdy zatrzymała ją milicja, młoda, zagubiona dziewczyna, dla której całym światem był dom i książki.

- Ty niczego nie szukasz. - powiedziała nagle kobieta i zniknęła w wozie. Pojawiła się po chwili, niosąc w rękach kilka ramek ze starymi fotografiami. - Znam takich jak ty, nie potrzebujesz używanej doniczki. Czasami mam rzeczy, które mają duszę, stare pozytywki, książki, nawet miałam kiedyś pamiętnik z czasów wojny. Teraz nic takiego nie znalazłam, ale mam zdjęcia. Rzadko je wyciągam, bo kto chce płacić za nieswoje fotki? Jest tu taki jeden, co przychodzi i zawsze coś znajdzie, ale nie ma go już drugi tydzień, więc pewnie nie pogniewa się, jak sobie je obejrzysz. On mówi, że widzi w nich historię tych wszystkich ludzi, że niektóre z nich mogą zmienić komuś życie.

Kobieta zaśmiała się rechotliwie, ale nagle umilkła i dodała: - Może ma i rację, ale ja w nich widzę tylko czasy, których nie znam. Często złe czasy...

Ewa zaczęła oglądać zdjęcia oprawione w zniszczone ramki. Były to głównie fotografie rodzinne i już miała je odłożyć, gdy wzrok jej przykuło ostatnie zdjęcie. Było w fatalnym stanie, szybka popękana w wielu miejscach, ale to nie przeszkodziło jej rozpoznać domu widocznego na zdjęciu. Tak, to bez wątpienia był dworek w którym wychowała się jej babcia i mama. Jeździła tam na wakacje do ukończenia podstawówki, a potem został sprzedany. Na ustawionych przed domem krzesełkach siedzieli prawdopodobnie jej pradziadkowie. Zmrużyła oczy i delikatnie przetarła szkło. Tak, to na pewno byli oni. Na każdym z wielu zdjęć, które posiadała babcia, wyglądali tak samo - ona dumnie wyprostowana, on lekko zgarbiony, pozostający w jej cieniu. Zmarł, kiedy nie było jej jeszcze na świecie, ale słuchając wspomnień mamy i babci była przekonana, że musiał być bardzo nieszczęśliwy. Na zdjęciu trzymał maleńkie zawiniątko z dzieckiem, a obok prababki stała szczupła, może dziesięcioletnia dziewczynka. Z tyłu znalazła napis: „Lipce, 1943”. Szybko obliczyła, że starszym dzieckiem mogła być jej babcia Stefcia, ale kim było małenstwo, na które tak czule patrzył pradiadek? Babcia była jedynaczką i nikt nigdy nie wspominał o żadnym rodzeństwie. Ewa bez namysłu zapłaciła za fotografię i odprowadzona czujnym okiem właścicielki straganu pomknęła do domu.

Następnego dnia pojechała do babci. Nie czekając na zaproszenie niemal wdarła się do jej mieszkania, wywołując na jej twarzy grymas zdziwienia lub raczej niezadowolenia.

- Babciu, kto jest na tym zdjęciu? - zapytała bez większych wstępów.

Babcia początkowo niechętnie wzięła fotografię, po chwili jednak jej twarz rozjaśnił uśmiech.

- Skąd to masz? Myślałam, że spłonęło w 1948, w pożarze. To jedyna pamiątka po Mariance.

- Kim ona była? Dlaczego nic o niej nie wiem? - Ewa nie kryła zniecierpliwienia.

- Nie denerwuj się, to prostsze, niż ci się wydaje. Marianka, właściwie nie znam jej prawdziwego imienia, była żydowskim dzieckiem, które moi rodzice ocalili w czasie wojny. Bardzo ją kochałam, traktowałam jak siostrę. Mama z jakichś nieznanых mi przyczyn nie lubiła jej, za to tata ją uwielbiał! Gdy w 1948 wybuchł pożar, musieliśmy przenieść się do stryja na jakiś czas. Tam było mało miejsca i pewnego wieczoru tata zabrał Mariankę i zawiózł ją do jakiejś rodziny, którą mama znalazła za pośrednictwem Czerwonego Krzyża. Tata bardzo posmutniał, a ja w końcu przestałam się o nią pytać.

- Nie szukałaś jej potem? Nic nie zrobiłaś, żeby ją odnaleźć? - zdziwiła się Ewa.

- Wiesz, kiedy dorosłam, zastanawiałam się, jak to właściwie było, że nie znaleźli tej rodziny wcześniej, rodzice jednak nie chcieli ze mną na ten temat rozmawiać. - Babcia nagle zamilkła i dodała po chwili - Wiesz, zdaje mi się, że oni raz wymienili nazwę Krajanka.

Była zdziwiona, jak łatwo udało jej się zdobyć stary adres Marianny. Nie miała szans na odnalezienie aktu urodzenia, więc postawiła na akt ślubu. Zadzwoiła do urzędu stanu cywilnego w Krajence, gdzie dowiedziała się, że taka osoba wzięła ślub kościelny w roku 1964 z niejakim Jędrzejem Markowskim. Skąd wiedzieli? Prowadzili taki rejestr do końca lat siedemdziesiątych specjalnie dla tych, którzy nie mogli odnaleźć swoich krewnych po wojnie. Po chwili radość towarzyszącą sukcesowi poszukiwań ustąpiła miejsca zdziwieniu: - ślub kościelny? Przecież była Żydówką... Młoda para, według księgi meldunkowej, zamieszkała w kamienicy przy ulicy Młyńskiej.

Ewa postanowiła wyjechać wcześniej, zanim w drogę do pracy wyruszą zniecierpliwieni mieszkańcy miasteczka. Nie lubiła tłoku na szosie, w przeciwieństwie do Michała, który twierdził, że taki chaos budzi go do działania, dzięki czemu staje się bardziej wydajny w pracy. Zresztą nie tylko w pracy, pomyślała z przekąsem. Po niespełna dwóch godzinach odnalazła dom, w którym przed laty zamieszkała Marianna z mężem. Niestety, obecni lokatorzy kupili mieszkanie od kogoś zupełnie innego. Po chwili jednak przypomnieli sobie, że syn ich poprzedników ma księgarnię na rynku. Może on coś wie?...

To była jedyna księgarnia w centrum, więc Ewa bez trudu tam dotarła. Właściciel okazał się być słabo zorientowany w temacie historii domu swoich rodziców.

- Wie pani, oni to mieszkanie tak jakoś dziwnie szybko dostali, a wtedy długo czekało się na lokal. To wszystko, co pamiętam - wzruszył ramionami.

- A czy pana rodzice żyją? - zapytała z nadzieją w głosie.

- Tylko mama. Mieszka z moją siostrą, ale będę z panią szczerzy, ona jest ciężko chora i nie sposób się z nią dogadać. No i mój siostra nie pozwoli - dodał ostrzegawczym tonem.

- Zadam jej tylko kilka pytań. To dla mnie bardzo ważne...

- Mam nadzieję, że nie pożałuję tego... - mruknął zapisując adres siostry na kartce.

- Doprawdy nie wiem, w czym moja mama może okazać się pani pomocna. To stare dzieje, wszystko się jej miesza.

Siostra właściciela księgarni próbowała zniechęcić Ewę do rozmowy ze swoją matką, ale widząc desperację w jej oczach, westchnęła: - No dobrze.

Ewa weszła do niewielkiego pokoju, w którym zapach charakterystyczny dla starości wspomaganej ziołowymi lekarsztwami mieszał się z zapachem tulipanów stojących wazonie na stoliku nocnym. Starsza pani siedziała nieruchomo na fotelu przy oknie, jednak na widok gościa z pewnym zażenowaniem poprawiła nieistniejącą niedoskonałość fryzury, jakby wstydząc się stanu przemijania, na który przecież nie miała żadnego wpływu. Ewa zauważyła pewną niewymuszoną elegancję w jej mchach, gdy poprosiła ją gestem, aby usiadła.

- Od jakiegoś czasu próbuję znaleźć informacje na temat Marianny Markowskiej, która mieszkała na Młyńskiej zanim pani się tam wprowadziła. - wyjaśniła bez większych wstępów. Kobieta patrzyła na nią badawczo i Ewa mogłaby przysiąc, że w jej oczach dojrzała cień strachu. Po chwili jednak odwróciła wzrok w stronę okna i rzuciła:

- Niech pani da spokój, to było dawno temu. Po co to komu, to grzebanie w przeszłości? - nagle spojrzała na Ewę - Mam ponad osiemdziesiąt lat, niewiele pamiętam. Dostaliśmy mieszkanie, wychowaliśmy w nim dzieci i to koniec historii. Przepraszam, ale jestem zmęczona, muszę się położyć - poruszyła się nerwowo w fotelu i był to wyraźny znak dla Ewy, aby skończyć wizytę. Wychodząc, zostawiła swój numer telefonu na wypadek, gdyby starsza pani coś sobie przypominała, ale wiedziała że raczej nie ma na co liczyć.

Po powrocie do domu usiadła na łóżku w sypialni, która przez lata dzieciństwa i młodości była jej azylem, miejscem, gdzie pieczołowicie gromadziła żniwa swoich pasji - książki, filmy, plakaty, obrazy, które sama namalowała zanim zrozumiała, że malowanie nie stanowi sensu jej życia. W liceum plastycznym czuła się zwyczajnie nie na miejscu, jakby założyła na siebie ubranie, w którym wprawdzie dobrze wyglądała, ale w którym źle się czuła. Potem jednak, gdy już pracowała jako recenzentka dla gazety, skrzętnie korzystała ze zdobytej wcześniej wiedzy i naturalnego wycucia barw i harmonii kształtów. Kiedy odkryła zdrady Michała, wyrzucała sobie tę swoją artystyczną swobodę interpretacji, która według niej nie pozwalała prawidłowo odczytać pewnych znaków świadczących o jego niewierności. Teraz jednak intuicja podpowiadała jej, że dawno temu wydarzyło się coś, co miało pośredni wpływ na jej życie i ona musi to wyjaśnić. Wzięła do ręki stare zdjęcie przyniesione z targu. Wiele rodzin ratowało żydowskie dzieci w czasie wojny, niby nie było w tym nic dziwnego, a jednak coś tu się nie zgadzało... Marianna przeżyła z nimi kilka lat swojego życia, skąd więc ten brak zainteresowania jej losem?

Następne dwa dni nie przyniosły nic nowego. Miała właśnie zadzwonić do swojego terapeuty, aby przeprosić za nieobecność na ostatnim spotkaniu, gdy na wyświetlaczu telefonu pokazał się nieznamy numer. Zaciekawiona odebrała połączenie.

- Ewa Dalecka, słucham?

- Dzień dobry. Tu Helena Sawicka, była pani u nas niedawno. W sprawie lokatorów mieszkania na Młyńskiej. Proszę jutro przyjechać - usłyszała zaniepokojony głos.

Ranek był rześki, tak jak lubiła. Po chłodnej kwietniowej nocy wstawał słoneczny dzień, zapowiedź zbliżającego się lata, jej ulubionej pory roku. Odkąd pamięta największą radość sprawiała jej nie celebrowanie przyjemności, ale samo oczekiwanie na nią. O dziewiątej zapukała do mieszkania Sawickich.

- Niech pani wejdzie - w głosie pani Heleny było słychać zaniepokojenie. - Martwię się o mamę, prawie nic nie je od czasu pani wizyty. Coś ją trapi, jakieś wspomnienie.

Po chwili Ewa przekonała się, że Sawicka miała rację.

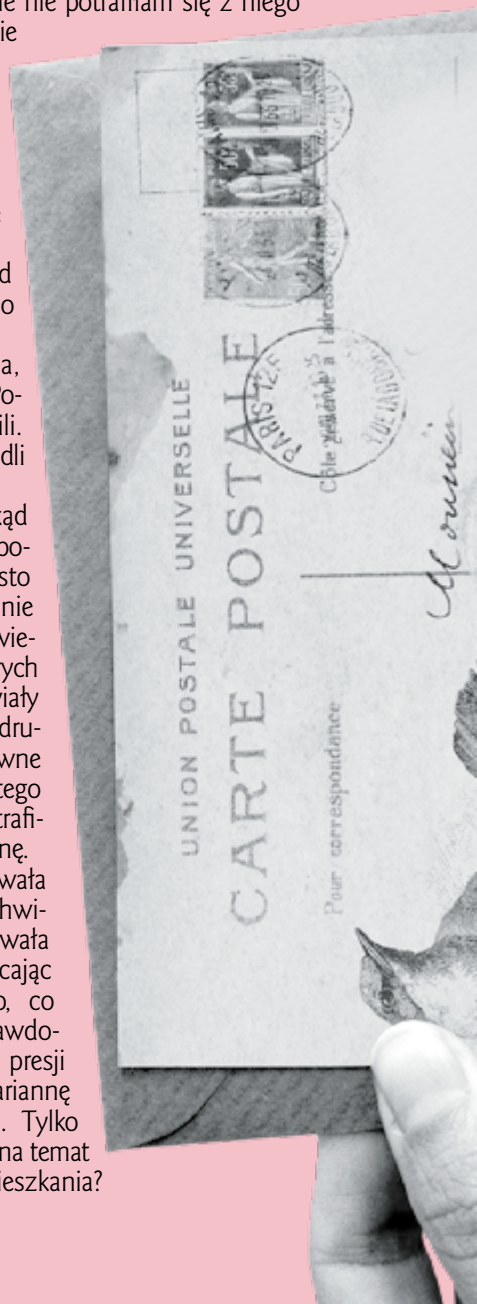
- To były ciężkie czasy, musisz zrozumieć - starsza pani zaczęła swoją opowieść bez większych wstępów: - Mielśmy dwójkę dzieci i mieszkaliśmy kątem u moich teściów. Nie mogłam się z nimi dogadać, byli hardymi, zaprawionymi przez wojnę ludźmi. Czekaliśmy na lokal z przydziału, byliśmy drudzy w kolejce. Koleżanką, która pracowała w urzędzie powiedziała mi, że na razie nie mamy szans, nie to, co ci przed nami. Bezdzietni, ale on musi mieć jakieś koneksje w powiecie, bo naczelnik przyjmuje go zawsze osobiście, no i dostali piękne dwupokojowe mieszkanie. Widziała, że jestem załamana i chyba próbowała mnie pocieszyć, bo zdradziła mi, że matka tamtej kobiety żyła w czasie wojny z oficerem niemieckim zajmującym się transportami do obozów i w gruncie rzeczy nie ma co jej zazdrościć takiego pokrewieństwa. Byłam chora z wściekłości i bezsilności. Nikogo ważnego nie znałam, więc w perspektywie miałam kolejne lata z rodzicami męża. Nie wiem co właściwie chciałam osiągnąć opowiadając w domu to, co usłyszałam od koleżanki. Moja teściowa uwielbiała takie historie, taplała się w cudzych dramatach jak kaczką w wodzie. Wiedziałam, że po dwóch dniach całe miasto będzie żyło tą sensacją. Potem wszystko wymknęło się spod kontroli. Ludzie początkowo szepotali na widok młodych Markowskich, potem zaczęli ją zaczepiać w kolejkach, na ulicy. Dzieciaki biegały za nią i rzucały wyzwiskami. Ktoś wysmarował drzwi do ich domu czerwona farbą. Potem na murze kamienicy pojawił się napis: „Faszystowski bachor”. Młodzi wyjechali wkrótce po tym zdarzeniu, my dostaliśmy ich mieszkanie, ale nie potrafiłam się z niego cieszyć. Przynajmniej nie wtedy... Nikt nie wiązał mnie bezpośrednio z całą tą sprawą, ludzie w końcu umilkli, dość szybko, zresztą jakby nie do końca mieli czyste sumienie.

- Czy wie pani, dokąd się wyprowadzili? - cicho zapytała Ewa.

- Nie jestem pewna, ale on miał rodzinę w Poznaniu, tak ludzie mówili. Ale podobno się rozwiedli wkrótce po wyjeździe.

Po raz pierwszy, odkąd zaczęła Ewie wszystko opowiadać, spojrzała jej prosto w oczy. - Wiem, co o mnie myślisz, ale muszę ci powiedzieć, że czasy, w których żyłam, często pozbawiały nas zwykłych ludzkich odruchów, wyzwały prymitywne instynkty. Nie jestem z tego dumna, ale inaczej nie potrafiłam zadbać o swoją rodzinę.

W pokoju zapanowała zupełna cisza. Ewa po chwili podniosła się i skierowała w stronę drzwi. Wracając do domu analizowała to, co usłyszała. Markowski prawdopodobnie nie wytrzymał presji społecznej i zostawił Mariannę samą z jej upokorzeniem. Tylko skąd ma wziąć informacje na temat ich kolejnego miejsca zamieszkania?



Postanowiła jeszcze raz porozmawiać z babcią, może ona podsunie jej jakiś pomysł?

- No dobrze, muszę jednak coś tobie powiedzieć - westchnęła babcia, gdy Ewa skończyła relacjonować swoją wizytę u Sawickich. - Ona tu przyjechała wtedy ze swoim mężem. Ja już mieszkalam gdzie indziej, z dziadkiem i twoją mamą. Ojciec dostał wtedy zawału. Byłam zrozpaczona, kiedy zmarł. Przez chwilę nawet obwiniłam matkę o jego śmierć. Po pogrzebie pokłóciłam się z nią i wtedy usłyszałam, że była tu Marianna, i że to przez nią odszedł. Mama spokojnie opowiedziała mi, jak tata postanowił przygarnąć dziecko faszysty i jego polskiej kochanki, swojej przyjaciółki z lat dzieciństwa. Oczywiście była temu przeciwna, ale on był stanowczy. Podejrzewam, że był to pierwszy i ostatni raz, kiedy się jej postawił.

- Nie chciałaś się z nią spotkać? Przecież musiała być zdruzgotana po tych wszystkich wydarzeniach w Krajence - zapytała zdziwiona Ewa.

- Oczywiście, że chciałam, ale matka rzuciła na nią całą odpowiedzialność za śmierć taty. Podobno wyjechała za granicę i zakazała nam jakichkolwiek kontaktów ze sobą. Nawet nie przyjechała na pogrzeb, a przecież tyle nam zawdzięczała. Stałam się więc o niej zapomnieć.

Babcia wyszła na chwilę. Gdy wróciła, niosła poźółtką pocztówkę.

- Kiedy twoja prababcia zmarła, znalazłam to w jej rzeczach - podała Ewie widokówkę ze zdjęciem gór i napisem: „Chamonix”. Z tyłu Marianna starannie wykligrafowała pozdrowienia z Francji i podała swój nowy adres.

- Wysłała to trzy lata po śmierci ojca, a kartka jest zaadresowana do obojga. Ona zwyczajnie o tym nie wiedziała dlatego nie było jej na pogrzebie - dodała ze smutkiem w głosie.

- Dlaczego do niej nie napisałaś? - Ewa powoli traciła cierpliwość. Cała ta historia zupełnie nie pasowała do jej najbliższych. - Pewnie byliście dla niej całym światem, a potem ktoś ją oddał jak zabawkę, którą się znudzone.

- Ewciu, wszyscy popełniamy błędy. Nie miałam pojęcia o tym, co wydarzyło się w Krajence. Kiedy dowiedziałam się od matki o pochodzeniu Marianny, byłam w szoku. Jako dziecko wierzyłam, że była małą Żydówką, a moi rodzice bohaterami. Razem z twoją prababcią podjęliśmy decyzję, że nigdy więcej o tym nie będziemy rozmawiać. Teraz myślę, że było to bardziej wygodne niż słuszne, ale cóż... - babcia westchnęła ciężko.

- Czy mogę zachować pocztówkę? Ewa podniosła się do wyjścia. Potrzebowała odpowiedzi na swoje pytania, potrzebowała domknięcia, aby jej życie miało sens. Nie mogła zostawić przeszłości w zawieszeniu, jeśli chciała zacząć wszystko od nowa.

Gdy wyszła z lotniska w Genewie, skierowała się do wypożyczalni samochodów. Po załatwieniu

niezbędnych formalności wsiadła do auta i wyjechała w stronę autostrady. Do Chamonix dotarła o zmierzchu. Bez trudu znalazła pensjonat, w którym wcześniej zarezerwowała pokój. Zjadła późną kolację, wypila lampkę czerwonego wina i wyszła na spacer po okolicy. W torebce miała pocztówkę z adresem, ale nie musiała jej wyjmować. Doskonale pamiętała nazwę ulicy i numer domu. Szukając pensjonatu zwracała uwagę na to, aby był w okolicy Les Praz, tam gdzie prawie pół wieku temu zamieszkała Marianna.

Wiosna jeszcze nie zazieleniła tu drzew, cieplejsze pory roku docierały do położonych wysoko w górach miejscowości z opóźnieniem, odchodziły za to wyjątkowo szybko, ustępując miejsca ponurym słotom przechodzącym powoli w surową zimę. Po chwili niezbyt szybkiego marszu stanęła przed niewielkim, zadbanym domem. Wiedzioną nagłym impulsem zapukała do drzwi, nie bacząc na późną porę. Po chwili ujrzała młodego mężczyznę, który patrzył na nią z uprzejmym zainteresowaniem.

- Oui? - zapytał zachęcającym tonem.

- Bonjour - odezwała się Ewa, nagle skrępowana całą tą sytuacją. Co ona tu robi? Już miała się wycofać, gdy do drzwi podeszła starsza kobieta i z zaciekawieniem spytała po polsku:

- Pawełku, kim jest ta pani?

- Dzień dobry, nazywam się Ewa Dalecka - odezwała się szybko, wykorzystując dogodny moment. - Szukam Marianny Markowskiej, z domu Bajurko. Zamieszkała tu ponad...

- Teraz nazywam się Guerin - przerwała uśmiechając się życzliwie. - Proszę wejść. Napije się pani herbaty?

Była czwarta nad ranem, kiedy Ewa po raz kolejny czytała list, który jej prababcia wysłała Mariannie w sierpniu 1998 roku, trzy miesiące przed swoją śmiercią.

Droga Marianno.

Ten list jest dla mnie próbą odkupienia moich win, bo bardzo zgrzeszyłam wobec Ciebie. Nie wiem, czy mnie zrozumiesz, ale postaram się napisać całą prawdę, od samego początku. Gdy byłam młodą dziewczyną, miałam narzeczonego. Bardzo go kochałam, był całym moim życiem. Mieliliśmy się pobrać, niestety on zginął tuż przed ślubem. Wtedy świat się dla mnie skończył. Zmieniłam się. Z wesołej, życzliwej dziewczyny przestoczyłam się w zgorzkniałą, złośliwą kobietę. Gdy poznałam Jana, on coś we mnie zobaczył, do dzisiaj nie wiem, co...

Wysłałam za niego dla pewnego porządku rzeczy - trzeba było w końcu opuścić rodziców, dla których niezamężna córka w wieku dwudziestu trzech lat była w tamtych czasach powodem do wstydu na wsi. Postawiłam sprawę jasno, żadnych uczuć, czysta kalkulacja. Nawet moje powinności intymne ustały zaraz po urodzeniu Stefei. Próbowaliśmy dość długo zbliżyć się do siebie, ja jednak zbudowałam mur nie do zburzenia. Dałam mu do zrozumienia, że ja swoją miłość już przeżyłam, a to, co on robi mnie nie obchodzi, byle ludzie nie gadali. W końcu zakochał się w Twojej matce. Początkowo nie zwracałam na to uwagi, ale po pewnym czasie zaczęły mnie drażnić - ta jego zmiana w sposobie bycia, radość w oczach, wyglancowane buty. Nie wiem do dzisiaj czy byłam zazdrosna o niego, czy o uczucie, którego mnie tak okrutnie pozbawiono. Maria, Twoja matka, była piękną kobietą. Mężczyźni się za nią uganiali, mogła przebierać w nich jak w ulegawkach. Ale wybrała właśnie Jana. Był też taki jeden Niemiec, oficer. Kochał się w niej bez pamięci. Całe miasteczko o tym szumiało, ludzie krzywo na to patrzeli, ona trzymała go na dystans. Odrzucić całkiem nie mogła ze strachu, bo wojna była. Kiedyś zapytałam złośliwie Jana jaka ona jest. Nie spodziewałam się szczerej odpowiedzi, uczucie chyba stępiło jego umiejętność odróżniania zwykłej ciekawości od ironii. Powiedział, że najbardziej ceni w niej odwagę. Zdradził, że od kilku miesięcy ukrywa w piwnicy domu rodzinę Żydowską. (Stąd pomysł, aby tak potem tłumaczyć Twoją obecność



w naszym domu.) Byłam zszokowana, ale nie odwagą, ale jej głupotą. Kiedy dowiedziałam się od Jana, że Maria jest w ciąży, wiedziałam, że jak tylko znajdą okazję, odejdą, a ja zostanę sama. Początkowo nie wiedziałam, co robić. Gdy już urodziła Ciebie, powiedziałam komu trzeba, że Maria ukrywa żydowską rodzinę. Ale nie doniosłam oficjalnie, tylko takiemu jednemu, który stale sprzedawał folksdojczom różne informacje. Zabrali ją razem z rodziną, którą ukrywała i wywieźli do obozu. Kilka dni później, nocą przyszedł ten Niemiecki oficer, z którym ją widywano. Przyniósł dziecko, Ciebie. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, w jaki sposób zdołał wyrwać Cię z transportu. Bałam się, że ktoś, a w szczególności Twój ojciec odkryje, że to ja stałam za tym wszystkim, więc w końcu zgodziłam się przyjąć Cię pod swój dach. Wkrótce zamieszkaliśmy w Lipcach, gdzie byłeś z nami do pożaru. Nie mogłam znieść Twojej obecności, tego, że byłeś taka ładna, jak matka i tego, że Jan i Stefcia po prostu szaleli na Twoim punkcie. Wykorzystałam pożar do tego, aby się Ciebie pozbyć. Znalazłam Twoich krewnych w Krajence, Twojemu ojcu umówiłam, że będziesz tam szczęśliwa, bo byli bogaci i nie mieli swoich dzieci. Zmienił się nie do poznania, ale mi to nawet odpowiadało - nie umiałam żyć pełnią życia, więc wolałam, aby mój mąż dzielił ze mną ból straty. Stefci powiedziałam, że umarł przez Ciebie, ale to nie prawda. Umarł, bo ja zabrałam mu wszystko, na czym mu zależało. Wypowiadałam się przed Bogiem, musiałam jeszcze przed Tobą. Proszę Cię o wybaczenie, ale zrozumieć, jeśli nie odpowiesz na mój list.

Eleonora Bajurko

Ewa starannie złożyła pośótkłą kartkę i położyła się do łóżka z poczuciem spełnionego obowiązku. Po raz pierwszy od wielu tygodni spała nieprzerwanie przez dwanaście godzin,

nadrabiając nieprzespane noce.

Spojrzała na zegarek. Miała jeszcze trzy godziny, dwie zabierze jej droga na lotnisko, więc została jej cała godzina, żeby poszperać w starociach na targu. Nagle zadzwonił telefon. Gdy odebrała, uśmiechnęła się ciepło i po chwili odpowiedziała do słuchawki: „Nie babciu, nie musisz robić kolejnej sałatki. I tak przygotowałam tyle jedzenia, że wyżywiłabyś jeden rocznik wygłodniałych studentów”. Po chwili dodała: „Nie bój się, nie spóźnię się. Marianna ląduje dopiero za trzy godziny. Babciu, zaparz sobie melisę, proszę...” Podchodząc do stoiska przywitała jego właścicielkę, Jolę.

- Masz dzisiaj coś ciekawego? - Ewa spytała z nadzieją w głosie.

- Miałam, piękną pozytywkę z tajemniczą dedykacją, ale ubiegł cię mój stary klient. Mówiłam ci o nim, kiedy przyszedł do mnie po raz pierwszy. Jeszcze większy marzyciel od ciebie - zaśmiała się Jolka, wskazując na stojącego do nich plecami mężczyznę. Kiedy odwrócił się, Ewa rozpoznała w nim kolegę z czasów szkolnych.

- Tomek? Co ty tu robisz? Słyszałam, że wyjechałeś do Anglii - nie kryła zdziwienia.

- Wróciłem rok temu. A co z tobą? Zrobiłaś tę swoją karierę w mediach? A gdzie twój mąż, podobno wzięłaś ślub? Mieszkasz dalej we Wrocławiu? Tomek zarzucał ja pytaniami, na które nie miała szans odpowiedzieć. Uśmiechnęła się bardziej do siebie niż do niego, myśląc, że może kiedyś z chęcią na nie odpowie...

Joanna Koniarek, Debrzno

Opowiadanie zostało wyróżnione w IV Konkursie Literackim dla Nauczycieli, zorganizowanym przez Pedagogiczną Bibliotekę Wojewódzką w Słupsku i Stowarzyszenie Edukacyjne Volumin.

Dotyk pioruna



Nataniel spacerował wąską i piaszczystą alejką ulubionego miejskiego parku. Kropla potu spłynęła po jego wysokim czole. Wyjął z głębokiego szmacyanego plecaka granatową czapkę z daszkiem i założył na głowę. Słońce grzało wyjątkowo mocno jak na tę porę roku.

- W maju jeszcze nigdy nie było tak gorąco - pomyślał. Przeszedł jeszcze kilka metrów. Na swoich szerokich plecach poczuł powiew lodowatego wiatru. Zdziwił się mocno. Obejrzał się za siebie i spojrzał w górę. Na niebie pojawiły się czarne chmury. Posuwały się bardzo szybko w jego kierunku. Wisiały nisko. W ułamku sekundy całe niebo zrobiło się czarne, a wokoło zapanował mrok. Dzień stał się nocą. Nagle głośno zagrzmiąło, a na niebie pojawił się piorun. Jego blask rozświetlił wszystko wokół. Nataniel ujrzał jak wiatr łamie gałęzie drzew i rozrzuca je po całym parku. Jedna z nich spadła tuż pod jego stopy. Ledwo zdołał odskoczyć. Kawałek spróchniałej kory uderzył go w twarz.



Z pobliskich metalowych koszy podmuch wiatru powygarniał śmieci, które wirowały wokół. Szum szalejącego wiatru wdzierał się do uszu Nataniela. - Trzeba stąd wiać - pomyślał. Przyspieszył kroku. Chciał biec, ale wiatr się wzmacniał, a jego siła uniemożliwiła ucieczkę. Walka z wiatrem sprawiła, że na jego twarzy pojawił się wyraz wysiłku. Miał zacisnięte mocno szczęki, przymrużone oczy i pomarszczone czoło. - Co mam robić w tej sytuacji? Jeśli nie znajdę rozwiązania, to wiatr może wyrządzić mi krzywdę - pomyślał. W odległości kilku kroków dostrzegł wysoki dąb. Wykrzesał z siebie wszystkie siły, pokonał siłę wiatru i odległość dzielącą go od dębu. Chwycił się drzewa obiema rękoma. Czapkę z daszkiem, którą

wcześniej przytrzymał dłoń, zerwał mu wiatr, odrzucił daleko. - Jaka szkoda, to przecież moja ulubiona czapka - pomyślał. W jaki sposób wytłumaczyć się żonie, że zgubił otrzymany od niej prezent? - zastanawiał się Nataniel.

Kolejny rozbłysk pioruna oświecił parkową drewnianą ławkę, która spadła z trzaskiem łamanych desek na pobliski plac zabaw. To już nie był podmuch wiatru, a nawet nie wichura - to już było tornado.

Jasno-biała twarz Nataniela stała się czerwona z wysiłku. Jego mięśnie napięły się do granic wytrzymałości, tak że żyły wyszły mu na wierzch. Zaczął słabnąć. Jego dłonie osuwały się po pniu drzewa. Nagle wiatr szarpnął. Nataniel jęknął z bólu. Jeden z jego paznokci został w korze dębu, a on został porwany przez wiatr. Przeleciał przez gałęzie drzewa, które poraniły jego ciało. Na poszarpanej, białej koszulce z krótkim rękawem pojawiły się ślady czerwonej krwi. Z kieszeni niebieskich, dżinsowych spodni wypadł skórzany portfel, a znajdujące się w nich banknoty rozsypały i odrzuciły.

Na wysokości korony dębu wciągnął Nataniela wir powietrza i unosił coraz wyżej. W pewnej chwili wiatr ucichł, a Nataniel zawisł pod czarnymi chmurami. Był przerażony. Czarne chmury znajdowały się na wyciągnięcie ręki. Uniósł zakrwawioną dłoń i dotknął chmur. Ich chłód sprawił, że zraniony palec przestał boleć. W tej samej chwili zagrzmiało i piorun dotknął jego dłoni. Przez umysł Nataniela przemknęła myśl, że to już jego ostatnia chwila życia. Poczuł prąd przeszywający jego ciało od palców dłoni po palce jego stóp. Minęło kilka sekund. Pod Natanielem utworzyło się pole magnetyczne, które zaczęło powoli opadać i opuszczać go na ziemię.

- Wstawaj prędko. Spóźnimy się na samolot - usłyszał głos ukochanej żony Sary.

Nataniel przetarł dłońią swoje zielone oczy i usiadł na



rogu dużego łóżka. Zerknął nieśmiało na swój palec. Jak dobrze, że to tylko sen, a palec nie jest zraniony i nie boli - powiedział na głos.

- Co ty tam mówisz do siebie? - krzyknęła krzątająca się po kuchni Sara.

- Wiesz skarbie, miałem przedziwny sen. Śniło mi się, że zostałem porwany przez wichurę, aż do samego nieba, a piorun dotknął mojej dłoni. Zastanawiam się, co może oznaczać ten sen. Jak myślisz?

- Ach, ty i twoje dziwne sny. Nie zwracaj sobie tym głowy. Weź prysznic i zjedz śniadanie. Zrobiłam twoje ulubione tosty z serem i bekonem.

Zapach roztopionego sera i przypieczonego bekonu doleciał do sypialni. - Co za pyszny zapach - pomyślał Nataniel. Zerwał się na nogi i szybkim krokiem podążył do łazienki. Zdjął zieloną piżamę i wszedł pod prysznic. Gorąca woda spłynęła po jego muskularnym ciele. W kabinie zrobiło się ciepło i parno. Delikatny wietrzyk łazienkowego wentylatora przypominał Natanielowi sen. Spojrzał na swoją dłoń. Wydawało mu się, że nadal czuje dotyk pioruna. Usłyszał stukot do drzwi i dochodzący głos Sary.

- Mogę wejść?

- Tak, oczywiście - odpowiedział Nataniel.

Sara zrzuciła jedwabny, czerwony szlafrok odkrywając swoje nagie, zgrabne ciało. Długie i bujne, blond włosy opadły na jej piersi i nieco je zakryły. Otworzyła drzwi kabiny i weszła do środka. Przytuliła się do męża i pogłaskała jego krótko przystryżone, czarne włosy.

- To nasz wielki dzień, kochanie - powiedziała Sara. Praktyka w Nowym Yorku podniesie moje kwalifikacje. Pielęgniarka z praktyką w dobrym zagranicznym szpitalu ma większe szanse na polskim rynku pracy. Po powrocie znajdę dobry etat. Będę zarabiać więcej. Poprawi to nasz standard życia.

- Przecież słyszałaś, że w Stanach jest teraz kryzys. Za twoją praktykę nie zapłacą zbyt wiele. Będę musiał znaleźć tam pracę, a przy tak dużym bezrobociu może być trudno.

- Nie martw się, kochanie. Poradzisz sobie.

- Tak, na pewno. Długo ćwiczyłem na fortepianie amerykańskie szlagiery. Postaram się o pracę w barze lub restauracji.

- Pięknie grasz i na pewno spodobaś się Amerykanom.

Sara wtuliła się w szerokie ramiona męża. Jej małe okrągłe piersi przywarły do jego mokrego ciała. Nataniel poczuł przeszywający dreszcz. Jego serce zaczęło bić mocniej. Spojrzał głęboko w błękitne oczy swojej żony i mocno pocałował jej wilgotne usta. Pocałunek był długi i namiętny. Ich usta stały się mocno czerwone i spuchnięte. Przyspieszone oddechy małżonków wypełniły przestrzeń w kabinie prysznicowej i wymieszały się z dźwiękiem wody uderzającej o ściany kabiny.

- Natanielu..., nie teraz, kochanie - powiedziała Sara cichym i drżącym głosem. - Samolot nam ucieknie, kochanie - dodała po chwili.

Nataniel niechętnie uwolnił delikatne ciało żony ze swojego uścisku. - Szkoda, bo mogło być cudownie - pomyślał.

Sara rozsunęła drzwi i oboje wyszli z kabiny. Ubrali się. Zjedli wcześniej przygotowane tosty. Znieśli ciężkie bagaże do dziesięcioletniego volkswagena golf i pojechali na lotnisko Okęcie.

Na lotnisku było tłoczno i gwarno. Nataniel spostrzegł, że podróżni są zdenerwowani i nieco zdezorientowani. Nie skupiał jednak nad tym uwagi, gdyż do odlotu pozostało niewiele czasu.

Po załatwieniu wszystkich formalności małżonkowie podążyli do samolotu.

- Kochanie czy wiesz, że na niebie unosi się pył wulkaniczny - powiedziała Sara siadając w miękkim samolotowym fotelu.

Nataniel nie wiedział o wybuchu wulkanu Eyjafjallajokull na Islandii. Nie oglądał Wiadomości, gdyż był skupiony na przygotowaniach do podróży.

- Nie, nie wiem. Ale rozumiem teraz niespokojne zachowanie podróżnych na lotnisku. Dobrze, że nie odwołali naszego lotu. Kolejne samoloty zapewne już nie polecą. - Czy myślisz, że ten pył wulkaniczny to jakiś zły znak? - zapytał Nataniel.

- Nie sądzę. Zresztą nie wierzę w przesady i zabobony - odpowiedziała Sara.

Małżonkowie, po przybyciu do Nowego Yorku zatrzymali się w hotelu o nazwie „Promyk Nadziei”. Był to obiekt z tych

w rodzaju „na każdą kieszeń”. Nataniel wybrał ten hotel, ponieważ mieścił się w pobliżu szpitala kardiologicznego, w którym Sara miała odbywać praktykę.

Do wnętrza hotelu weszli przez duże szklane drzwi, nad którymi wisiał czerwony neon. Odebrali w recepcji klucze i weszli stromymi, krętymi schodami na pierwsze piętro.

Zrobiło się późno. Za oknem na niebie pojawiły się gwiazdy, a jasny blask księżyca przebijał się przez cieniutką kraciastą zastonkę.

Zmęczeni podróżą małżonkowie położyli się do miękkiego łóżka i przytulili mocno do siebie.

- To nasza pierwsza noc w Ameryce - powiedziała Sara.

- Tak, kochanie - odpowiedział Nataniel i przywarł ustami do nagich piersi żony.

W tej samej chwili, zaskrzypiały i otworzyły się drzwi, stojącej w rogu pokoju dębowej szafy. Z jej ciemnego wnętrza wyszedł czarnoskóry mężczyzna. Ubrany był w szary, zabrudzony, roboczy uniform. Mężczyzna miał mocno podkrążone oczy. Na jego twarzy rozsiadane były dziesiątki głębokich zmarszczek. Był bardzo spracowany i wyglądał tak, jakby nie spał od wielu dni. Spod jego zniszczonych, ciężkich, roboczych butów dobiegał piskliwy krzyk starych podłogowych desek. Wolnym i powłóczystym krokiem podszedł do wełnianego dywanu. Schylił się, wydobywając z ust przeraźliwy jęk bólu. Żyłastą dłońią odsunął dywan, pod którym znajdował się właz. Uchylił drewnianą klapę włazu i zniknął w ciemnym otworze. Małżonkowie znieruchomieli z przerażenia. Strach spoglądał z ich oczu. Nataniel chwycił rękę żony i krzyknął - uciekajmy stąd!

Sara poczuła mocne szarpnięcie. Otworzyła i przetała dłońią zaspane oczy.

- Co... się dzieje? - zapytała.

- Dziwnie szamotałaś się w łóżku. Pomyślałem, że śni ci się jakiś koszmar.

- Tak - dobrze myślałeś, kochanie. To był sen jak z prawdziwego horroru. Śnił mi się spracowany i zmęczony mężczyzna, który spacerował po naszym pokoju, a na koniec zniknął po podłogę.

- Kochanie, mam wrażenie, że boisz się pracy w Ameryce. W tym obcym nam kulturowo miejscu.

- Może masz trochę racji, ale nie chcę o tym śnić dłużej rozmawiać - odpowiedziała Sara. - Pójdźmy już na śniadanie - dodała.

Przestronna restauracja hotelowa była pełna gości. Uwagę Nataniela przykuły ich twarze. Zmęczone i smutne. Zastanawiał się, dlaczego tak wyglądają.

- Zobacz Saro jak bardzo są smutni i zmęczeni życiem.

- Masz rację. Nie wyglądają dobrze. Raczej tak jakby ich coś dręczyło.

Sara i Nataniel zapełnili tace potrawami ze „stołu szwedzkiego” i usiedli do stolika.

- Wiesz Saro, mam wrażenie, że ci ludzie się nam przyglądają.

- Tak ci się chyba tylko wydaje Natanielu. Ja tego nie dostrzegłam. Pomyśl jak poprawić tym ludziom nastroj. Zagraj im coś ładnego, kochanie.

W rogu restauracji stał wysłużony fortepian Steinway. Nataniel podszedł do niego, usiadł na krzeselku i zaczął grać. Po sali rozniósł się dźwięk radosnej melodii.

- To Walc As-dur Fryderyka Chopina - powiedział gruby, łysawy mężczyzna siedzący przy barze.

Wszyscy goście przestali zjadać się sowymi potrawami i skupili się na słuchaniu muzyki. Ich twarze pojaśniały. Znikł z nich smutek, a pojawiły się uśmiechy. Nataniel skończył grać i wrócił do stolika.

- Zobacz mężu, oni się teraz uśmiechają. Muzyka potrafi zdziałać wiele dobrego - powiedziała Sara.

- Na chwilę zapomnieli o swoich troskach - odrzekł Nataniel.

Po śniadaniu Sara i Nataniel weszli na górną kondygnację hotelu. Usłyszeli jakieś jęki dochodzące z pokoju znajdującego się na końcu wąskiego korytarza.

- To głos bardzo chorego człowieka. Zajrzyjmy tam i sprawdźmy, czy nie potrzebuje pomocy - powiedziała Sara.

Nataniel zapukał nieśmiało. Zza drzwi dobiegł cichutki głos: - Proszę wejść, drzwi otwarte. Weszli do środka. Na łóżku leżał starszy mężczyzna o siwych i przerzedzonych włosach.

- Co panu dolega? Czy możemy w czymś pomóc? - zapytała Sara.

Mężczyzna popatrzył na Sarę i Nataniela z lekkim niedowierzaniem.

- Jak...? Co...? Pomóc...? - chrząknął pod nosem. - Leżę w tym łóżku już od kilku lat i nikt mi jeszcze nie oferował pomocy. Jak byłem zdrowy i zarabiałem dużo pieniędzy, to miałem wielu przyjaciół. Niestety, zachorowałem i straciłem pracę, a przyjaciele odwrócili się ode mnie. Ameryka to dziwny kraj. Masz pieniądze, to żyjesz. Nie masz, to stajesz się wyrzutkiem społecznym. Takim kłoszardem, co tuła się bez celu tu i tam. A wy, co tu robicie w tym hotelu? Czy wiecie, że zbudowali go czarnoskórzy niewolnicy?

Sara pobałda. Przypomniała sobie sen o zmęczonym, czarnoskórym człowieku. - Czy ten sen to intuicja, czy coś paranormalnego - pomyślała.

- Przyjechaliśmy tu za pracę, a ten hotel jest niedaleko szpitala, w którym mam odbyć praktykę - powiedziała Sara.

- Zadam wam jedno pytanie: Czy widzieliście w restauracji tych zmęczonych życiem ludzi?

- Tak - odpowiedzieli jednocześnie Sara i Nataniel.

- To mam dla was radę. Wracajcie do swojej ojczyzny, bo za kilka lat będziecie wyglądali tak jak oni. Przygnębieni, smutni, spracowani i schorowani. To Ameryka. Tutaj liczą się tylko pieniądze, a nie człowiek. W tym kraju ludzie żyją na kredyt. Dorobek życia zabiera im tornado. Rząd amerykański drukuje puste dolary, które nie mają pokrycia w rzeczywistości materialnej. Pompują finansowy balon, który łąda dzień może z wielkim hukiem pęknąć. I co wtedy? Pieniądz, a nawet złoto stracą całkowicie swoją wartość i nie będzie można za nie nic kupić. Powstanie totalny finansowy chaos, który pociągnie do upadku Amerykę, oraz inne kraje z nią powiązanie „finansowym systemem naczyń połączonych”.

Mężczyzna wstał z łóżka i chwiejnym krokiem podszedł do dębowej komody. Otworzył szufladę i wyjął z niej zwitek banknotów. Podpierając się o skórzany fotel podszedł do Nataniela i wcisnął zwitek banknotów w jego dłoń.

- Jeśli nie macie na drogę powrotną, to przyjmijcie te pieniądze. Jesteście tacy młodzi i macie tyle dobroci i radości w sobie. Nie chcę, żeby spotkało was to, co mnie w tym „kraju na finansowych, glinianych nogach”.

W chwili, gdy starzec wcisnął zwitek banknotów, Nataniel poczuł jak prąd przechodzi od dłoni po całym jego ciele. Przypomniał sobie sen, który miał przed wylotem do USA. Stał chwilę w osłupieniu. Po chwili odłożył pieniądze, na stojąco w pobliżu szklany stolik.

- Dziękujemy, ale nie potrzebujemy pieniędzy. Jest nam miło, że pan się o nas martwi. Życzymy panu szybkiego powrotu do zdrowia - powiedział Nataniel.

- To ja wam dziękuję, kochani - odpowiedział starzec.

Nataniel odwrócił się twarzą do żony. Spojrzał głęboko w jej oczy i powiedział:

- Wracajmy do siebie.

- Do naszego pokoju? - spytała Sara.

- Nie do pokoju, ale do Polski - odrzekł Nataniel.

Tomasz Mroczkowski, Słupsk